Nr. 36. 6. Listopada 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

MARYA.

Szkic powieściowy.

Byłoto dnia 10 października 1796. Dwa lata temu najpiękniejsze nadzieje odradzającej się ojczyzny zalała krew na polach maciejowickich; — niespełna rok upłynął jak Stanisław August zrzekł się korony polskiej, jak nastąpił ostateczny rozbiór ostatnich pozostałości ziemi naszej.

Szczęśliwy kto zginął na polu sławy, kto pełen nadziei, pewien zwycięztwa krwią opromienioną głowę położył na łonie dogorywającej matki naszej: bo co pozostało prawych jej synów musiało śród cierpień i rozpaczy bezwładnie się patrzeć na jej letarg, a co smutniejsza, na powolne zobojętnienie swych braci.

Smutno było w kraju, smutno. Po pierwszej chwili rozpaczy niedołężne zwątpienie o sobie, o Bogu opanowało większą część obywateli. Porwani jakimś szałem rzucili się w wir życia zmysłowego. Hulatyki, gry, zabawy, kobiety, wystawność opanowały umysły. Tymczasem dzielniejsi jęczeli po więzieniach, lub przemocą wcieleni w wojska obce, ginęli w szeregach zaborców, inni nareszcie tęsknili pod srogiem niebem Sybiru choćby za jednem spojrzeniem ojczystego słońca, za jednem spojrzeniem osób drogich, za jednym uściskiem ręki bratniej. Byłto czas upadku i poniżenia naszego.

Ależ właśnie od czasów po ostatnim rozbiorze zaczyna się ów wątek nieprzerwany poświęceń i walk pokoleniu od pokolenia podany, ów pochód narodu ku przyszłości swojej, chwilami powstrzymywany, lecz tem świetniej po klęskach dalej prowadzący się, pomnikami zwycięztw i sławy oznaczony. Już wtedy, jak później, jak przedtem, znalazło się wielu mężów nieugiętych, którzy rzuciwszy ziemię ujarzmioną zanieśli niezłomną wiarę w odrodzenie się ojczyzny do krajów nam przyjaźnych. Tam, walcząc za sprawę wolności innych narodów chcieli wywalczyć wolność kraju własnego. Na polach Włoch i Niemiec wypisali oni orężem nigdy niezatartą protestacyę przeciw zgwałceniu najświętszych praw narodów. Inni mniej szczęśliwi usiłowali zebrać na Wołoszczyźnie legiony podobne do tych, co się organizowały na ziemi włoskiej, a które z niemi połączyć się miały. Jedne i drugie miały za pomocą związków w samym kraju istniejących wtargnąć potem z Wołoszczyzny w ziemie polskie i uderzyć z tyłu na nieprzyjaciół w Lombardyi zatrudnionych. Taki był plan dyrektoratu francuzkiego i w takimto celu Ksawery Dąbrowski zbierał w Jassach wojsko polskie, w takimto celu otworzyły się komitety w Krakowie i we Lwowie, które ułatwiały dawnym wojskowym i dzielniejszej młodzieży przeprawę do Jass, zaopatrywały ich w pieniądze i broń i miały przygotować wszystko do przyszłego powstania.

W rocznicę więc wspomnioną bitwy maciejowickiej jakiś mężczyzna schodził późno wieczorem ulicą Nową miasta Lwowa ku dawnym wałom. Trudno było rozpoznać bliżej postać i rysy jego, bo noc była ciemna a wątłe światło zakopconych latarń bezskutecznie usiłowało przedrzeć się przez mgłę, która zalegała ulice. Było już bardzo późno. Gdzieniegdzie tylko świeciło się w oknach: tu od lampy nocnej chorego, tam od stolika z kartami, w innem miejscu z nad książek ucznia lub gdzieś pod strzechą od łojówki szwaczki lub czeladnika ciężko pracującego nad gorzkim kawałkiem chleba. Cisza była dokoła, tylko odgłos kroków idącego rozlegał się w pobliżu a od ulicy halickiej dolatywała go jakaś nuta obca, wygłaszająca śmiało, iż wszyscy ludzie są sobie braćmi.

Myśl ta nie bardzo przypadła do smaku nocnego wędrownika, bo mruknął sobie pod nosem coś o „psubratach“ i wąsy podkręcił. Zresztą doszedł wkrótce do miejsca do którego zmierzał, zatrzymał się na chwilę przed zamkniętemi już drzwiami jakiejś kawiarni i podniósł rękę jakby do pukania. Wtem przez spiew dało się słyszeć owe powolne i niepewne stąpanie cechujące pochód patrolu. Na to przyjaciel nasz spuścił rękę — i znowu pewnym jakby wojskowym krokiem szedł dalej ku ulicy halickiej.

Przeszli filantropiczni cudzoziemcy o dwadzieścia kroków od niego, przeszedł tuż przed nim patrol świecąc mu w oczy latarnią, potem kroki oddalających się coraz słabiej obijały się o jego uszy, aż nareszcie zupełnie przebrzmiały. Wtedy stanął na chwilę, słuchał czy nowej nie usłyszy przeszkody, potem krokiem szybkim i ukradkowym wracał do drzwi kawiarni na ulicy Nowej i zlekka zapukał.

Trwało chwilę nim głos jakiś odezwał się wewnątrz:

— A ktoto tak późno puka? Już niczego nie dostanie. Już wszyscy spimy.

W tej chwili zegar na ratuszu odezwał się.

— Ot, wpół do pierwszej, ciągnął dalej głos wewnątrz.

— To ja panie Kordysz, to ja.

— Coś mi głos znajomy — czy nie — a patrol?

— Już przeszedł, odpowiedział nasz znajomy.

Odchyliły się drzwi i długie wąsy pana Kordysza ukazały się na ulicy.

— Co za goście!—zawołał. Ba! prosimy wielmożnego pana, prosimy. A któżby się spodziewał.

— Że fryc któregoście zdarli przed dwoma tygodniami, znowu wróci, abyście go znowu skubnęli?

— Bodaj wielmożnego pana! fryc? Oto mi dopiero fryc! rzekł Kordysz ironicznie się uśmiechając.

Rozmowa ta już się toczyła w kawiarni zupełnie ciemnej, do której oba weszli.

— Ot, panie, niewola, westchnął Kordysz zasuwając rygle u drzwi, — niewola! tu w kawiarni nie mogę przyjąć nikogo bo strof — strof niesłychany. Musiałem szanownych gości zaprosić do izby do siebie. — Och panie! dodał, niechby sobie już panowali w dzień a nam niech pozwolą w nocy.

Nareszcie odchylił drugie drzwi a strumień słabego światła rozlewał się z kłębami fajczanego dymu po ciemnych kątach kawiarni.

Widok niezwykły uderzył wchodzącego. Izba niewielka, przygnieciona ciężkiem sklepieniem, napełniona dymem i przesiąkła wyziewami różnych napojów, różnego jadła rozciągała się przed nim perspektywą tunelu. Wątpliwa jasność rozchodziła się z pod dużego okna od jednej łojówki krzywo w wysokim lichtarzu blaszanym osadzonej. Około tej świecy grupowało się przy dużym stole kilka postaci godnych pędzla Teniers'a. Zresztą izba mieściła w sobie ogromny piec kaflowy z dwiema rurami, szafę ścienną z drzwiami kratowemi, pułki także w ścianie, zastawione butlami i flaszkami różnej wielkości z rumem, arakiem, ponczową esencyą, napełnione przytem garnkami i garnuszkami, lichtarzami, szczypcami i świecami, słowem najrożnorodniejszym sprzętem kawiarnianym. Wpośrodku jednej ściany stała spróchniała komoda koloru ciemno ceglastego, nad nią wisiał szczerniały obraz święty; na komodzie toż samo różne ruchomości. Obok łóżka obszernego skrzypiała przy ścianie przeciwległej kolebka, przy której pani Kordyszowa czuwała nad najmłodszym z Kordyszów. Dwoje starszych rozciągało się bowiem na łóżku między piernatami w kierunku poprzecznym od ścian tegoż łożka. Chrapanie, kaszel i kwilenie się tych trojga dzieci tworzył wraz z mrukiem kota w jednej z rur pieca drzemiącego i z warczeniem psa pod piecem się rozciągającego nieprzerwany chór, przez który głosy gości, jak głosy głównych spiewaków rożnym tonem prym spiewały.

Gości tych było przed wstąpieniem nocnego wędrownika naszego czterech. Dwóch oddawało się wraz z gospodarzem *straszakowi*, grze hazardownej znanej także pod nazwą *ferbla*, trzeci zaś odłączony od reszty niby bezwładnie chrapał na jednej z ławek przy stole. Zdawało się z ruchów, mrukania i częstego zrywania się, z półprzytomnego sięgania za szklanką z resztkami czaju nad jego głową na stole stojącą, że gorący napój pozbawił go użycia władz umysłowych i fizycznych; a dobrego trzeba było znawcy aby w tych symptomatach bezprzytomności dostrzegł coś podrobionego coś udanego. Nietylko bowiem zrywał się, jak często stawka w straszaku rozciekawiającym sposobem wzrastała, nietylko zdawał się brać udział w wygranej lub przegranej jednego z grających; ale oczy jego zwykle bezmyślnie zataczające się często bystrem i badawczem spojrzeniem skierowały się ku drzwiom, jakgdyby kogo oczekiwał, kogo wyglądał. Ustało to dopiero wtedy, gdy nowy gość weszedł do izby; odtąd bowiem skryta uwaga jego do tego się zwróciła.

Wyjście gospodarza przerwało grę. Grający korzystali z przerwy aby sobie nałożyć fajki i zajrzeć do szklanek. Jeden z nich zasługuje na szczególniejszą uwagę naszą. Rysy twarzy udatne, nos orli, oczy czarne prawie bez połysku i cera smaglawa zdradzały w nim pochodzenie oryentalne. Kruczy, nieco szpakowaty włos okrywał skronie jego, gęste szerokie brwi wisiały nad jego oczami, a czarne szorstkie wąsy spadały po obu stronach foremnych ust jego. Koścista budowa ciała zapowiadała w nim siłę nadzwyczajną. Ubranie przez pół greckie okrywała kapota miękkim barankiem podbita, a czapka huculska w tył zarzucona uzupełni nam jego postać. Trzymał on zresztą w lewym ręku cybuch łokciowy z okopconą małą stambułką, drugą zaś ręką sięgał to po szklanicę, to do otwartego kapszuka, to nareszcie po karty. Gospodarz był dla niego ze szczególniejszą atencyą.

Pan Harwas, tak się bowiem nazywał, był znaku swojego wyziniarzem. Do niedawnych czasów było zwyczajem we Lwowie, że rokrocznie w jesieni przybywali do Lwowa handlarze ormieńscy z Bukowiny i Wołoszczyzny, którzy wędlinami różnemi a głównie wyziną handlowali. Musieli oni przytem dobre mieć zyski, bo zawsze trzosy mieli pełne, chociaż dobrze żyli we Lwowie, a mianowicie pewnych kawiarń, czaju i straszaka pilnowali. Stanowili oni typ ludzi właściwy, i należeli do rzędu owych oryginałów, z jakimi rzadko się spotkasz w tych czasach jednostajności, gdzie każden do drugiego tak podobny, jak żołnierz do żołnierza, lub salonowiec do salonowca. Bądź co bądź, pan Harwas miał nie tylko zapas wyziny w swych pakach, pieniędzy w swym trzosie i zyzowatego pomocnika, który go usługiwał a przytem czaj z nim popijał, ale miał oprócz tego coś pod kożuszkiem, czego nie zawsze znaleźć pod frakiem choćby i aksamitnem owych czasów; miał bowiem serce prawe i szczere, i czynne przywiązanie do kraju i jego losów.

Trzeci z nocnych gości kawiarni, był niejaki pan Koziołkiewicz, który się tytułował plenipotentem, a w rzeczy samej był tem, co z niemiecka nazywamy pisarzem pokątnym. Mając pretensyę do elegancyi, stroił się z francuzka w stare suknie panów, których kąty wycierał, topił chudą twarz w brudną białą chustkę, ozdabiał pierś żabotami zżółkłemi, zebrał włosy

w harbajtel ale przytem miał wąsy potężne, nosił zblakłą czapkę rogatą i trzcinę z okuciem tombakowem. Miał się zresztą za uczonego, łubił się popisywać frazesami łacińskiemi lub niemieckiemi. Gracz z profesyi namiętny i zarozumiały uważał Harwasa za rodzaj fryca przybyłega na to do Lwowa, aby go porządnie oskubał.

Niezapomnijmy o pomocniku pana Harwasa siedzącym w winnem oddaleniu od pryncypała swojego i nie bierzącego czynnego udziału w grze. Niepoczesna postać jego, chuda pociągła twarz, zézowate wejrzenie, cera do skóry podobna, słowem karykatura orłowatej oryentalności, nie rokowały wiele przymiotów umysłowych, a przecież był on baczny, przenikliwy, poczciwy, a przedwszystkiem z przywiązaniem bez granic do swego pana.

Chwilę przed pukaniem Harwas, zapaliwszą sobie przy świecy nowo nałożoną fajkę i zaciągnąwszy się dymem zakazanego „turka", z najzimniejszą krwią wypuszczał z ust swoich dym, a zarazem imponujące przeciwnikowi swojemu słowa:

— A gdybyśmy dorzucili po karbowańcu?

Kawiarz, nie namyślawszy się wiele, odstąpił z westchnieniem.

Ale za to Koziołkiewicz mocno się tą propozycyą pana Harwasa zalterował.

— Dukata? Mospanie, dukata?— zawołał mieniąc się i spozierając z ukosa na dwie dziesiątki przeciwnika swojego, które dwudziestoma oczami swojemi groźnie na niego patrzały. — To *pańska* stawka. — To pan podstoli bywało —

Pan Harwas wydobywszy z zatłuszczonej sakwy świecący pieniądz rzucił takowy do puli.

Brzęk dukata ubudził drzemiącego na ławce; podniósł się, sięgnął po szklankę, i wpatrzył się w mieniącą się twarz Koziołkiewicza.

— Ha, rzekł tenże, sięgając do kieszeni — audacibus fortuna juvat, mówi Horacyusz Cocles.

— Audaces! audaces — wybełkotał pijany.

— A więc Mospanie — ale nie! — nie trzymam.

Pan Harwas zagarnął pulę.

W tym zapukano do drzwi. Przeraziło to mocno gospodynię:

Na Boga! błagała, wynoście się panowie do kuchni, na dziedziniec — bo patrol. —

— Głupiaś, uspokajał ją mąż — to nie pukanie patrolu. To mówiąc, wstał i wnet wprowadził znajomego nam wędrownika nocnego.

Postać tegoż, spokojność w ruchach jego, mina mimo woli imponująca, cechowały w nim człowieka obracającego się zwykle w towarzystwie innem od tego, w które właśnie wchodził. Ale ogłada towarzyska nie zatarła w nim cechy samodzielności i hartu duszy. Niespokojne, a często nieruchome wejrzenie zdradzały, że go przedmioty otaczające i chwilowe zajęcie nie zdołały oderwać od myśli innego, wyższego rzędu. Był to mężczyzna w sile wieku, słusznego wzrostu, pięknej nieco bladej twarzy. Z wojskowej czamarki, z konfederatki, nieco na bakier zasadzonej, ze sposobu zwięzłego wyrażenia się, z pewnej nieruchomości piersi jego, można się było domyśleć, że służył niegdyś w wojsku. — Taka była powierzchowność pana Karnowskiego.

— Szklankę ponczu! panie gospodarzu, zawołał. — Witam Waszmościów. Widzę, że sie spóźniłem. Jakże się szczęści? Pozwólcie, żebym i ja szczęścia sprobował.

Wtem spostrzegł chrapiącego na ławce.

— A to kto tu spi? zapytał.

— To nasz; odezwał się Koziołkiewicz, nasz, Wielmożny panie; to mój przyjaciel — prawdziwy Herod w straszaku. Onegdaj pod czarnym harbuzem ograliśmy kilku młodzików *ad non sunt*. To nasz.

— Jeśli nasz— przerwał mu pan Karnowski z wyrazem pogardy — to co innego.

Bytność nieznajomej osoby zawadzała wprawdzie nowo przybyłemu gościowi, gdy jej się jednak przypatrzył, uspokoił się.

— Zdaje się, rzekł, że...

— Tak jest, dokończył Koziołkiewicz, ma w czubku, wielka szkoda, że grać nie może. — Podchmielił sobie,

— Zacznijmyż. Stawka?

— Dwa reński.

— „Nowy da ognia" rzekł Koziołkiewicz.

— Jakto ognia? pytał Harwas.

— Jegomość bo nie wiesz, przysłowie to niemieckie — „Nowy da ognia" a czysta w tem prawda.

Rozpoczęła się gra. Rozmowa przy niej toczyła się ciągle. Przeskakiwała od kart do innych przedmiotów. Aby jednak zrozumieć o co szło, trzeba było znać stosunki tajemnicze między panem Karnowskim i Harwasem. Podajemy tu czytelnikowi próbkę tej rozmowy.

— Reńszczaka — rzekł kawiarz wrzucając złoty do puli.

— Trzymamy — odpowiedzieli.

— Pan ze Stanisławowskiego? spytał pan Karnowski Harwasa.

— Coś nie daleko — z Pokucia, odrzekł zagadniony.

Oczy zézowatego powiernika zaiskrzyły się; uśmiech przeleciał przez usta jego. Wiedział bowiem najdokładniej, że tak on, jak i pan jego z Nigrouca nad granicą Multan.

Chrapiący przestał chrapać i uszu nastawił.

— Rubla! dodał Harwas powoli przezierając karty swoje, poczem odwrócił się do pana Karnowskiego i powtórzył: Z Pokucia; albo co? — Rubla, panowie!

— Trzymam; trzymam; odrzekł pan Karnowski, — a woły u was po czemu?

— Nie wiele ich za Dniestrem; podrożały.

Koziołkiewicz zaczaiwszy się tymczasem z czterma królami po długiem udanem namyśleniu się — rubla? — zapytał, — rubla? cóż robić? trzymam.

*

— A gospodarz? spytał Harwas. — Podrożały woły, podrożały. Nie prawdaż Mikołaju?

Mikołaj uśmiechnął się znowu, a jeszcze mocniej zezując, głosem nosowem z cicha bąknął:

— Kiedy przed tygodniem wracałem z za Dniestru nie wiele ich było, a takieto mizerne i chude — a z przyczyny zarazy nawet odpadają im rogi.

Miało to znaczyć że za Dniestrem niewiele było moskali i że ich się bać nie trzeba.

Przyjaciel Koziołkiewicza na ławie podłożył sobie rękę pod ucho aby lepiej dosłyszał.

Kawiarz dodał zapropowanego rubla.

— Pan Karnowski mimo kart dość poślednich dorzucił dukata do puli.

— I drugiego i drugiego! zawołał śmiało Koziołkiewicz.

— I drugiego. Dotrzymali wszyscy — kawiarz zabrał pulę.

Nieszczęściło się tego dnia Koziołkiewiczowi; zaczął się rzucać i gniewać:

— Bo to te woły i rogi, te rozmowy o Bóg wie czem! Co mi to za gra. Jeśli nie przestaniecie panowie z tą rozmową, to grajcie sobie sami. Ja rzucę karty i wstanę!

— Podług woli; odparł groźnie pan Karnowski; obejdzie się bez waćpana.

Gospodarz ofuknął Koziołkiewicza, że mu gości obraża, bąknął coś o kulfonach które dwóch reńskich nie warte a które od hołyszów musi przyjąć jako dukaty.

Ofuknięty Koziołkiewicz uspokoił się; gra szła dalej. Po następnem rozdaniu miał cztery asy.

— Reńszczaka rzekł z udaną skromnością.

Dotrzymano mu reńszczaka i dodano po rublowi.

— A owce, panie Harwas, spytał znowu pan Karnowski jakby na przekorę Koziołkiewiczowi.

— Owce? — i tych niewiele. Mam zakupić owce dla pana Ojczyńskiego, wysłałem w tym celu ludzi na Wołoszczyznę, ale cóż! zastali kupców od zachodu; dla tego nie ma co kupić. Lecz spodziewają się przybycia stad z gór — tylko pieniędzy trzeba, pieniędzy! a pan Ojczyński —

— Dziesiątkę, dodałem dziesiątkę, przerwał posiadacz czteru asów.

— Ojczyński nie miałby pieniędzy? A na zbytki, na bale, na podróże?

— Dziesiątkę, powtarzam, Panowie! niecierpliwił się Koziołkiewicz.

Tymczasem przyjaciel jego podniósł się aby sięgnąć za czaj i rzucić okiem na pana Karnowskiego. Domyślił się bowiem że tu nie o owcach była mowa tylko o czem innem. W rzeczy samej owce oznaczały legionistów zbierających się pod Jassami, a Ojczyński oznaczał kraj, z którego spodziewano się żołnierzy i pieniędzy.

— Trzymamy dziesiątkę, trzymamy, rzekł Karnowski do zadąsanego Koziołkiewicza. — Ale czy wysłałeś pan kupców zręcznych, aby zakupić owce?

— Co zręczni to zręczni, jeden z Dąbrowy nad Seretem, drugi z Niska gospodarz.

— Ksawery Dąbrowski i Denisko, pomyślił pan Karnowski, a dodał głośno: Przyznam się, że jestem w spółce z Ojczyńskim a ręczę, że będzie wszystkiego, czego tylko potrzeba.

— Mam cztery asy, przerwał Koziołkiewicz, zabieram pulę.

W dalszym ciągu gry, gdy raz pan Karnowski wygrał pulę, Harwas płacąc, wsunął mu między bankocetlami jakiś papier zapisany, który tenże spiesznie schował do pularesu.

Było w ruchach obu coś niezwykłego, czego jednak żaden z obojętnych świadków nie spostrzegł, ale baczny przyjaciel Koziołkiewicza przez kłęby dymu poznał, że się coś działo, o czemby warto donieść osobie która go tu nastawiła. Nagle więc napadła go niespodziana tęsknota za żoną i dziećmi i zataczając się wyszedł z kawiarni.

Nie uderzyło to nikogo, oprócz zezowatego Mikołaja który nie dowierzając udaniom i niespokojny o pana swego wyszedł tuż za nim.

W chwilę, gdy wygrywający powtórnie Koziołkiewicz, z całym wylaniem poczciwej duszy chciał zafundować szanownym towarzyszom po szklance czaju, Mikołaj wróciwszy przestrzegł grających, że widać jakiś ruch na ulicach, a potem dodał po wołosku, zwracając mowę do swego pana, że osoba która tu udawała pijanego, była zupełnie trzeźwa, i że szybkim krokiem najprościej w świecie spieszy ku rynkowi.

Wiadomość o ruchu na ulicy niezwykłym w tak późną porę zniepokoiła wszystkich oprócz jednego Koziołkiewicza. Słowa zaś po wołosku wyrzeczone, zrozumiałe tylko dla Harwasa rozstrzygły. Zamknięto grę i z wszelką ostrożnością wyniesiono się cichaczem na ulicę. Tam każden innym kierunkiem wracał do swego pomieszkania.

Latarnie już zgasły, noc była ciemna. Pan Karnowski myślami swojemi zajęty nie spostrzegł, że już od kawiarni jakiś mężczyzna krok w krok szedł za nim ku ulicy piekarskiej, gdzie mieszkał. Pod Bernardynami nieznajomy krząknął i szybko przechodząc koło niego szepnął:

— Kościuszko.

Byłoto hasło.

Pan Karnowski odrzekł: — I naród.

— Nie wracaj do domu, szukają cię tam, przestrzegał nieznany przyjaciel i w chwilę znikł mu z oczu.

To co pierwej czy później nastąpić musiało, nastąpiło. Jakkolwiek pan Karnowski spodziewał się tego wypadku, jednak na chwilę był mocno wzruszony. Nie dowierzał jednak nieznanemu przyjacielowi i z wszelką ostrożnością zbliżył się do swego domu. Tam świeciło się w oknach. — Zadumany stanął. Widział przesuwające się koło okien postacie. Poznał młodą i ukochaną żonę swoję.

— Biedna Marynia! Czy się jeszcze zobaczymy? Potem zerwawszy się dodał: — Nie rozczulać się, nie rozczulać! To pora działania.

Za chwilę kroki szybkie pana Karnowskiego odbijały się między lipami dawnych wałów.

(C. d. n.)

KRWAWE DĘBY.

(*Legenda.*)

Stoi mogiła śród pól ojczystych,
A na niej trzy dęby rosną,
I niby wieniec z szczytów cienistych
Z każdą splatają jej wiosną.

A chcecie wiedzieć co się w niej mieści,
Jakie z nią wiążą się dzieje?
Słuchajcie prostej ludu powieści,
Co nad swą stratą boleje.

Żyła przed laty święta niewiasta—
Prawdziwa posłanka Boga;
Czciły ją nasze sioła i miasta
W jej imię gromiły wroga...

I w okół świata jej sława rosła;
Bo kędy sięgło jej ramię
Tam miłość w darze i wiarę niosła
I złotej wolności znamię.

Więc padła trwoga na dzicz pogańską,
Co była w żołdzie u kata;
I ułożono zdradę szatańską
By Świętą zgładzić ze świata.

Gdy na nią przyszła chwila niemocy,
Jaką Bóg swoich doświadcza: —
Przypadli zbiry jak wilcy w nocy
I krwią jej ziemia się zbracza.

Ciało mnogiemi ciosy rozdarto
I w trwodze by nie odżyło,
W głębokim grobie szczelnie zawarto,
I przytłoczono mogiłą.

Ależ — o dziwo! — za pierwszą wiosną
Trzy dęby na niej wyrosły;
I niby z skargą Świętej żałośną
Swe szczyty ku niebu wzniosły.

A pod ich cieniem naród pobożny
Wzniósł ołtarz swej męczennicy,
I cześć oddawał — nędzarz i możny —
Zwłokom w grobowej ciemnicy.

Toż nowa trwoga zdjęła pogany,
By lud nie pomścił się zbrodni;
I nowych gwałtów uknuli plany
Nieba synowie wyrodni!

Zgraja siepaczy wysłana zdradnie
Zburzyła ołtarz żałobny;
Potem z mieczami na dęby wpadnie
I niszczy wieniec ozdobny...

Lecz marna praca! — cud nowy słynie;
W tych dębach żyje niewiasta;
Za każdym razem krew tylko spłynie,
A cięcie znowu się zrasta!

Struchlała zgraja opuszcza miecze:
Co począć? — pytają siebie; —
„To złudne czary“ — herszt łotrów rzecze —
„Ja je z korzeniem wygrzebię!“

I wnet mogilna spada pokrywa,
I wnętrze grobu rozdarte; —
Ależ — o nieba! — Święta jak żywa,
Oczy jak do snu przywarte —

A z każdej rany, gdzie stal mordercza
Święte jej łono przeszyła,
Silnego dęba korzeń wystercza
I krew w konary rozsyła...

Przejęci zgrozą pierzchli siepacze
I wieść roznieśli o cudzie;
A lud nad Świętej zwłokami płacze,
I łzy te krzepią go w trudzie.

Bo wierzy stale, że Bóg ją zbudzi,
Gdy zadość gniewu się stanie;
Wtedy się dęby zamienią w ludzi,
I Święta z martwych powstanie!

26. paźdz. 1860. *Fr. W.*

WOLNE MIASTO BRODY

skreślił

KSIĄDZ SADOK BARĄCZ.

(Ciąg dalszy.)

Marya Kazimira nie rządziła miastem, jeno sam król. — Tak w roku 1690 przybywszy do Brodów, potwierdza przywilej dla Ormian, którego używali niegdyś w Jazłowcu temi słowy: ›Suplikowali nam ciż Ormianie obywatele brodzcy, abyśmy ich w Brodach, w mieście naszem dziedzicznem przy tem prawie zachowali i utwierdzili. My skłaniając się do powienionej ich supliki i słuszności, a chcąc im łaską naszą pańską jako dziedzicznym poddanym oświadczyć inserowany przywilej we wszystkich punktach, wolno-

ściach i prerogatywach, stwierdziwszy, aprobowawszy i konfirmowawszy, tychże Ormianów przy nim zachowujemy i zostawujemy; owszem nowe prawo nasze jako podupadłym nadajemy, aby były wolni od wszelkich ciężarów i podatków do dalszego zapomożenia się.« — Równie też ulitowawszy się nad nieszczęśliwem położeniem biskupów bakowskich wygnanych z Mołdawii, przeznaczył na ich utrzymanie probostwo brodzkie. — Jakoż w r. 1693 zamieszkał w Brodach ks. Wiktoryn Amand Cieszejko, biskup bakowski. Lecz zaledwie objął to probostwo, wnet ogniem przypadkowym część miasta zgorzała, przyczem dostało się też kościołowi łacińskiemu, który spłonął tak dalece, iż śród płomieni tylko obraz Maryi jazłowieckiej wyratować zdołano.

Do tej przygody przylączyły się nierównie większe niepowodzenia, które śmierć króla Jana Sobieskiego sprowadziła. Dowiedzieli się o tem Turcy i Tatarzy, że prawica pogromcy bezwładnie upadła, że zgasło bystre oko, które lotem błyskawicy przebiegając szeregi wrogów śmierć i trwogę zsyłało dzikim pohańcom, że już spoczął ten, który na czele zwycięzkich hufców postrach rzucał do koła. Uzuchwaleni tą nowiną zaczęli Wołyń pustoszyć a nie doznając żadnego prawie odporu złupili też i Brody znaczny plon ztąd uprowadzając. Uśmierzyły się wreście pogan napady, ustąpiło też zamięszanie, które tak namiętnie wrzało w umysłach, przybył Jakób królewicz do miasta dla polepszenia bytu mieszkańców jego. — W roku 1699 wydał dla żydów korzystny bardzo przywilej, którym pozwolił budować domy, szkoły czyli bożnice, łaźnie, jatki i okopisko do grzebania ciał zmarłych parkanem drewnianym ogrodzić. Uwolnił też od wszelakich podatków domy: rabina, kantora, syndyka i szpital. Uwzględnił też handle i pożytki w towarach, szynkach, winnicach i browarach.

Ale miał on nieprzyjaciela, który oddawna już nienasyconą żądzą posiadania miotany, wyglądał niecierpliwie chwili przyjaźnej do urzeczywistnienia nieprawych swych zamiarów. Jan Alexander Koniecpolski, wojewodzic bełzki mimo ogromnego majątku martwił się jednak, że i Brodów zagarnąć nie mógł. Lecz gdy się przekonał, że królewica Jakóba z powagi i władzy odarto, natychmiast począł miasto najeżdżać i różne bezprawia popełniać. Załogę fortecy rozpędził, przybory wojenne zabrał, a nawet i grobom swoich antenatów nie przepuścił. Przeciwko takim zdrożnościom chcąc ubezpieczyć miasto, postanowił Jakób królewic sprzedać takowe za 30,000 talarów bitych.

W r. 1704 zawarto kontrakt, w skutek którego Józef Potocki wojewoda i jenerał ziem kijowskich objął dziedzictwo Brodów z przyległościami niektóremi. Zamierzone zaś bezpieczeństwo miasta nie mogło przyjść do skutku, gdyż wnet rozpoczęła się walka sroga, wzniecająca powszechną nieufność i wzajemne prześladowanie. Czterech monarchów losy ważyły się na polskiej ziemi, kierowane przedziwną zręcznością. Fryderyk August detronizowany król polski, Stanisław Leszczyński, następca jego, Karol XII król Szwedów i Piotr Alexiewicz car Moskwy, ludzie z wielkimi talentami walczyli na pozor dla powszechnej sprawy, gdy tymczasem każdy z nich swoje własne popierał zamiary. Wodzowie polscy podzielili się na różne stronnictwa, jeden tylko Józef Potocki chciał pozostać neutralnym, lecz później namowom podobno żony swej Wiktoryi z domu Leszczyńskiej uległszy, chwycił się strony Karola XII, z którym niepomyślne przebywać musiał koleje. Korzystał więc z tego niepowodzenia, Jan Alexander Koniecpolski zajął Brody i ogłosił się panem dziedzicznym miasta. W roku zaś 1714 woźny na ratuszu lubelskim wyniosnym głosem obwołał, przywodząc to wszystkim do wiadomości, ażeby z Janem Alexandrem Koniecpolskim i jego spólnikami nikt nieobcował, rady i pomocy w niczem nie dodawał; ale żeby się wszyscy z nimi jako banitami wiecznymi podług srogości prawnej zachowali. Tak tedy na mocy układow polubownych ztąd wynikłych przyznana została własność Józefowi Potockiemu, która niestety mimo tylu kontrybucyi i przechodów wojsk cudzoziemskich nową klęską nawiedzoną została. W sam dzień albowiem św. Stanisława 1715 roku cała część miasta, począwszy od klasztoru dominikańskiego aż do zamku ogniem przypadkowym spłonęła.

Po śmierci Fryderyka Augusta króla polskiego znowu Brody narażone były na niedogodności, którym wszakże Potocki zaradzić nie mógł, gdyż należąc do stronnictwa Leszczyńskiego Warszawę bronić musiał. A tymczasem wojska moskiewskie od Kijowa wkroczywszy do Polski, zajęły Białącerkiew i stanęły obozem w Międzyborzu. Ztąd posunęły się na Podole i Wołyń, najeżdżając dwory szlacheckie, rabując po drodze kościoły i mordując szlachtę przed sobą uciekającą. Książe Hessen-Homburg na czele trzydziestu tysięcy Moskalów i Kozaków idąc na Tarnopol i Załoźce, stanął nareszcie w Podkamieniu d. 4. czerwca 1734 zkąd przypatrywał się fortecy brodzkiej. Nazajutrz kazał z armat dać ognia, na co mu też z Brodów wystrzałem odpowiedziano. Po takiem haśle wysłał półkownika Wedela z małym pocztem ludzi do Brodów gdzie go jako posła z oczyma zawiązanemi przez fosy i mury po drabinie puszczono do zamku. Tam tedy z komendantem Hauzenem traktował o poddanie fortecy brodzkiej. Musiano go dobrze przyjąć, gdyż w humorze bardzo wesołym powrócił do Podkamienia. D. 8. czerwca wyruszył książę Hessen-Homburg z całem wojskiem pod Brody, gdzie stanął obozem, a fortecę bez wystrzału odebrawszy natychmiast więźniów moskiewskich na wolność wypuścił, załogę królewską pod swoją zabrał komendę, nareszcie po kilku tygodniach osadziwszy załogę moskiewską w zamku, udał się przez Podkamień do Zbaraża.

Przy takiej silnej pomocy ustalił się przecie August III. na tronie polskim — nastąpiły czasy złotego pokoju, z którego wszakże niewszyscy korzystali. Nauki, przemysł i kunszta, mogły się rozwinąć doskonale gdyż wszystkie okoliczności najkorzystniej sprzyjały pomyślnemu ich rozwojowi. Częste odwiedziny a nawet

dłuższy pobyt Józefa Potockiego hetmana wielkiego koronnego w Brodach zbawienny wpływ wywarły na zamożność mieszkańców miasta tego. Ale cóż są ludzkie zabiegi? Jedna chwila wystarczy, żeby zniszczyć to, na co się wieki składały. Smutne to doświadczenie sprawdziło się na Brodach w r. 1742. Właśnie co przybyli z dalekich krajów kupcy z bogatemi towarami na jarmark świętojurski, a ruch nadzwyczajny najlepsze dla przedsiębiorstwa rokował powodzenie. Wtem dnia 6 maja z niedzieli na poniedziałek w nocy o godzinie jedynastej wybuchnął pożar z domów blisko kościoła łacińskiego z taką srogością, że wszystkie domy w mieście i kramy z towarami pochłonął. Milionowe szkody ztąd wynikły, gdyż kilkaset kramnic i domów spaliło się. Mnóstwo ludzi pierwszym snem zmorzonych śmierć swą w płomieniach znalazło, inni zaledwie z duszą pouciekali. Kościoł dominikański nie tylko zewnątrz, ale też i wewnątrz z ołtarzami, organami i dzwonami pogorzał.

Po tym nieszczęśliwym wypadku wszyscy prawie Ormianie miasto opuścili. Izrael tylko pozostał wiernym swej głównej siedzibie, za co też handel mocno rozgałęziony wyłącznie w ręce jego przeszedł. Zatarły się powoli ślady wszystko niszczącego żywiołu; a w roku 1748 z wielkiem upodobaniem witało miasto dostojnych gości; mianowicie: Hetmana wielkiego koronnego Wojewodę bełzkiego, Marszałka nadwornego koronnego, Wojewodę kijowskiego, Strażnika polnego koronnego i kilka chorągwi wojskowych przybyłych w celu przyjęcia posła tureckiego, który w kilkadziesiąt koni stanął w Brodach. Prowadzono go tedy w karecie poszóstnej jadącego do zamku, gdzie Hetman wielki koronny dawał mu uroczyste posłuchanie w przytomności drugiego posłannika od baszy benderskiego. Owczesne kroniki opisują nam zamiar tego posłannictwa w następujący sposób: »Legacya od Porty do Imc. pana Hetmana continebat ad sollicitationes tegoż Imc. pana Hetmana pardon dla dwóch Sułtanów jednego Gałgi tatarskiego, a drugiego brata jego premente fato w roku jeszcze przeszłym schronionych ad protectionem Rzeczypospolitej, oraz ferman, aby jechali do Romelii, kondonujący wszelkie przeciwko stanowi wykroczenia. A zatym Imc. pan Hetman competenti civilitate uczciwszy i udarowawszy tych posłanników i dawszy respons najwyższemu Wezyrowi cum intercessione, ażeby rzeczonym Sułtanom zupełnie jakowekolwiek bądź wykroczenie odpuszczone było, odesłał ich do Buczacza z przysłanym sekretarzem oryentalnym J. K. Mości i Rzeczypospolitej Imc. P. Marino Vucino, aby wyperswadowawszy tym gościom rezolucyą wyjechania z Polski za fermanem cesarza tureckiego, zabrali się in vias suas. Na dniu zatem onegdajszym odebrał raport Imc. pan Hetman w. kor., że już Sułtani victi rationibus et muneribus wyjechali za granicę z przyzwoitym konwojem przez Imc. pana Potockiego starostę kaniowskiego z rekomendacyi hetmańskiej dodanym i ekwipażem consulto w tę podróż dla nich dysponowanym i od Imc. pana Hetmana ofiarowanym.«

Rzadki ten przykład przysługi obywatelskiej poganom wyświadczonej znamionuje wielką poczciwość serca Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego, który we trzy lata póżniej rozstał się z tym światem.

Następcy jego idąc w ślady poprzednika swego, nie zaniedbali też okazywać dowodów swej troskliwej nad miastem opieki. Tknięci litością ku cierpiącej ludzkości, w r. 1760 sprowadzili do Brodów Siostry miłosierdzia, które podziwienia godnym zapałem poświęcają się zawsze na usługę schorzałych lub opuszczonych sierot. Czcigodne te heroiny chrześciańskiej życzliwości umieszczono obok kościoła łacińskiego i dostatecznym zaopatrzono funduszem. Wielka to była dogodność dla miasta zajętego przemysłem a nie mogącego zająć się niedołęztwem lub kalectwem swoich współbraci. Przy tej wszechstronnej oględności pomyślność mieszkańców mogła dojść do największych rozmiarów, gdyby Opatrzność prowadząca człowieka po ciernistej drodze, ciągle usiłująca oderwać go od ziemskiego kału, była nie dopuściła nowej a strasznej na miasto klęski. W kronice ówczesnej zapisano tę krótką wprawdzie, lecz przerażającą wiadomość: »Miasto Brody podczas oktawy Bożego Ciała 1763 roku funditus in maxima parte zgorżało.« Po tem pogorzelisku zaczęto myśleć o budowaniu trwalszych domów w celu zabezpieczenia bytu materyalnego mieszkańców, który w krótce pod względem zarządu politycznego na inne zupełnie przeniósł się stanowisko.

Dnia 5. sierpnia 1772 roku, wkroczyło wojsko austryackie dla objęcia kordonu gdzie i granicę położyli pod linią ze Zbarażczyzną, Tarnopolszczyzną po nad Seretem, Zbruczem, Smotryczem, pod Kamieńcem podolskim aż do Dniestru. Zaraz po uroczystości Wniebowzięciu Najśw. Maryi Panny 1773 roku, przybył do Brodów Józef II cesarz rzymski.

Zapewne w skutek tych odwiedzin zaprowadzono w Brodach urząd obwodowy, kwaterę Brygadyera, a w r. 1779 wolność miasta co do handlu ogłoszono. Od tego to czasu mogą tu być wszelkie zagraniczne towary wprowadzane, wyjąwszy regalia (artykuły cesarskie). Lecz o ile miasto na swobodzie przemysłowej zyskało, o tyle też straciło na korzyściach religijnych; gdyż Dominikanie w roku 1784 miasto opuścić musieli — a Siostry Miłosierdzia nieco później przeniosły się do Załoziec.

(*D. n.*)

Starsza siostra Zygmunta Augusta.

SZKIC HISTORYCZNY.

(Ciąg dalszy.)

Ufna w potęgę swych wdzięków, kazała piękna Jagiellonka wprowadzić sułtańskiego posła właśnie w chwili, kiedy obnażoną pierś podawała dziecięciu.

— Powiernik Solimana — opowiada hrabia Majlath według współczesnej kroniki węgierskiej — wszedł do kró-

lewskiej komnaty z wzniesionem czołem i hardym wzrokiem zmierzył królowę samą. Ujrzawszy ją jednak jaśniejącą blaskiem tak przedziwnej urody cofnął się pomimowoli ku drzwiom i olśniony niejako pochylił głowę z kornem uszanowaniem. A gdy królowa korzystając z pierwszego wrażenia swej powierzchowności, wzruszonym głosem zawezwała pomocy sułtańskiej dla swego syna, nie mógł dłużej zachwycony bisurmanin poskromić się w uniesieniu. Padł na kolana przed królową, ucałował nogi dziecięcego króla i przykładając mu rękę do piersi, zawołał uroczystym głosem:

— Przysięgam na Ałłę i jego proroka w moim i mojego pana imieniu, że nikt inny tylko to oto dziecię, ten syn króla Janusza odziedziczy berło i koronę węgierską!

I pełen uwielbienia, pełen najgorętszych chęci dla królowej i jej syna odjechał z powrotem do Stambułu.

Zaraz po jego wyjeździe przybyli do Budzynia nowi goście znakomici. Bylito polscy posłowie Andrzej Czarnkowski, scholastyk krakowski i Andrzej Górka, kasztelan poznański i starosta wielkopolski. Pierwszy z nich powracał z Wiednia od króla Ferdynanda, drugi przybywał prosto z Krakowa.

Mądry i umiarkowany Zygmunt chciał koniecznie w polubowny sposób załatwić spór między Ferdynandem a Izabellą. Najprzód też postanowił wyprawić posła do króla Ferdynanda, lecz dziwna jakaś fatalność ciężyła na jego wyborze. Przeznaczony najpiérw do odprawienia poselstwa Piotr Kmita, wojewoda krakowski, wymówił się od zaszczytu, później zaś wybrani kolejno Jan Wielamowski, biskup kamieniecki i Jan Zbąski dziekan krakowski rozniemogli się nagle, a pierwszy nawet nie dźwignął się więcej z łoża.

Nakoniec padł wybor królewski na Andrzeja Czarnkowskiego, który świeżo powrócił z Włoch do Wilna. Jemuto polecił Zygmunt udać się naprzód do Ferdynanda a potem przyłączyć się do Andrzeja Górki na dworze królowej Izabelli i z nim wespół pojednać strony zwaśnione.

— Ferdynandowi oznajmił król Zygmunt — pisze społczesna kronika polska — iż aczkolwiek wnuka miłuje jako krew swoją, wszakże mu do królewstwa węgierskiego dopomagać nie chce i nie będzie, więcej miłując pokój i dobro chrześciańskie, a Izabelli jednak z jej synem sieroctwo Ferdynandowi zalecając... Izabelli zasię radził król Zygmunt aby się według paktów nieboszczyka męża swego zachowała a na Budzyniu nie zawierała, ale aby puściwszy królowi Ferdynandowi Budzyn, sama do Trenczyna zamku i do oprawy swej z synem jechała, wszakże aby syna od siebie odłączyć nie dopuszczała. Toż i radom węgierskim król Zygmunt dawał znać.

Dumnym magnatom węgierskim nie podobały się te pokojowe przedstawienia polskiego sąsiada. Licząc na długie rządy dowolne podczas małoletności syna Januszowego trwali uporczywie przy postanowieniu pierwotnem i w imieniu swego wybranego króla Jana Zygmunta postanowili stawić zawzięty opór Ferdynandowi.

Przedewszystkiem też wyprawili Stefana Verbőcza do Stambułu prosząc o rychłą pomoc turecką. Uprzedzony pomyślnie przez swego wysłannika sułtan Soliman przyjął łaskawie węgierskiego posła i przyrzekł niezwłoczne posiłki, byle tylko Budzyń trzymał się aż do nadejścia odsieczy tureckiej.

Tymczasem nowy naczelnik wojsk Ferdynandowych, Rogendorf rozłożył się obozem koło starego Budzynia i z góry św. Gerharda rozpoczął ogień do miasta, a nawet kilka już razy próbował szturmu. Zwycięzki zawsze odpór oblężonych podniósł jeszcze wyżej dumę węgierskich magnatów i do tem silniejszego oczywiście zachęcał oporu.

Przy coraz gorętszem rozżarzaniu namiętności politycznych, nie mogła im się podobać ciągła niechęć i obawa Izabelli przed turecką pomocą. Daleko więcej jednak gniewały i oburzały ich ustawiczne konferencye posłów polskich z austryackim wodzem. Pomni na zlecenia swego monarchy nie przestawali Czarnkowski i Górka znosić się z Rogendorfem i próbować polubownych układów. Węgierscy magnaci od początku krzywem i podejrzliwem okiem patrzyli na te zabiegi, teraz zaś po powrocie Stefana Verbőcza z Stambułu postanowili za natchnieniem Jerzego Martinuzzi wystąpić przeciw nim stanowczo.

Pod pozorem jakiejś nader ważnej i pilnej sprawy przywołali obudwu rozjemców polskich do swej zwyczajnej sali obrad. Nie domyślając się żadnej zdrady przybyli Polacy, lecz zaledwie stanęli wkole zgromadzenia, rozbrojono i uwięziono ich wraz z całym pocztem przybocznym i nie dając i nie przyjmując żadnych wyjaśnień odstawiono jeszcze tegosamego dnia pod zasłoną dwustu żołnierzy do austryackiego obozu.

Obrażona w najwyższym stopniu zniewagą ziomków i posłów ojca swego, zapłonęła szlachetna wnuka Jagiellonów aż nazbyt słusznym gniewem i w uniesieniu pierwszej chwili postanowiła sama opuscić Budzyń i udać się za ojcowskimi posłami. Jakoż kazała natychmiast pakować rzeczy, ładować bryki i gotować się do wyjazdu.

Zniepokojeni magnaci węgierscy zabrali się co żywo na nową naradę i zaprosili królowę uniżenie do swego koła.

Izabella przybyła płonąc jeszcze gniewem i oburzeniem. Na jej wejście podnieśli się wszyscy z czcią przynależną i jęli z przybraną pokorą błagać królowę, aby odstąpiła od swego zamysłu i żadnym nierozważnym i porywczym krokiem nie narażała przyszłości syna.

Izabella odpowiedziała z dumą:

— Od czasu śmierci pana mego, nieboszczyka króla Janusza nie powinnam nikomu zdawać sprawy z moich postępków. Nie podlegam nikomu; toż nikt nie śmie dawać mi przestróg i rozkazów. Widzę że chcecie się zbisurmanić, chcecie mnie syna mojego i ojczyznę własną wydać w ręce niewiernych. Dlatego uciekam od was w tej chwili. Wolę być w niewoli u króla chrześciańskiego niż widzieć na głowie syna koronę uzyskaną pogańską pomocą. Poznaję że pod zasłoną imienia mojego chcielibyście wszystką władzę zagarnąć w swoje ręce i nie wzdragacie się poświęcić własną ojczyznę nienasyconej ambicyi waszej.

Nieprzygotowani na taką przemowę magnaci milczeli z pomarszczonemi czołami. Tylko zuchwały Martinuzzi, któremu niebawem będziemy musieli poświęcić kilka słów osobnych, postąpił o krok naprzód i nie pomnąc ani na

majestat królowej ani na słuszny gniew pięknej kobiety, odezwał się szorstkim, a nawet nieco groźnym głosem:

— Własna duma popycha cię w zgubę królowo! Prosimy cię pokornie, lecz jeśli nie wysłuchasz próśb naszych o wiedz, że potrafimy postąpić sobie i wbrew twej woli i gotowi jesteśmy dopuścić się kroku, który ci na złe wyjść może.

Posłyszawszy tę zuchwałą odpowiedź zalała się piękna królowa łzami gniewu i obrażonej dumy. Powstrzymując się jednak od wszelkich wyrzutów i wszelkiego gwałtowniejszego wybuchu, wyszła milcząc z sali obradowej. Gniew i oburzenie popchnęły ją niebawem do czynów hazardownych. Kazała przywołać do siebie burmistrra miasta Mikołaja Turkowitha i trzynastu ławników i rajców; między tymi znajdował się także kronikarz Tomasz Bornemissa, którego opowiadaniu zawdzięczamy większą część z przytoczonych tu szczegółów.

Do nich odezwała się królowa krótką przemową, którą zakończyła temi słowy:

— Powiedzcie mi wyraźnie i otwarcie, kogo uznajecie za władzcę królestwa?

— Służymy tobie i twojemu synowi! — wykrzyknął z zapałem sędziwy Mikołaj Turkowith, a za jego głosem poszli wszyscy inni.

Otucha wstąpiła w serce stroskanej królowej. Ze łzami w oczach podziękowała Turkowithowi i podała wszystkim kolejno rękę do pocałowania.

Ulegając osobistemu urokowi czarodziejskiej królowej padli mieszczanie w uniesieniu na kolana i przysięgli wszyscy pospołu, że pozostaną wiernymi królowej i przyłożą wszelkich starań, aby uwolnić ją z pod władzy dumnych magnatów.

— Pomnijcie — dodała królowa na pożegnanie — iż ludzie ci chcą zaprzedać mnie i ojczyznę, aby mogli panować pod bisurmańską opieką.

Po odejściu rajców i ławników uspokoiła się królowa, i czekała cierpliwie chwili wybawienia. Na nieszczęście znajdował się między mieszczanami jeden zdrajca, który tego samego dnia jeszcze doniósł o wszystkiem magnatom.

Zniepokojeni opiekunowie dziecięcego króla pospieszyli na zamek i pod różnemi pozorami starali się nakłonić królowę, aby wobec niebezpieczeństw oblężenia zmieniła mieszkanie. Nie mogąc się oprzeć ich natarczywym przedstawieniom, musiała przenieść się do bezpieczniejszego na pozór od ognia nieprzyjacielskiego domu przy wodociągach, gdzie baczna straż nadstawiona czuwała nad każdym jej krokiem. Wszakże mimo wszelką przezorność magnatów udało się jakoś królowej porozumieć z swymi sprzymierzeńcami.

— Uwolnicie mię, bo jestem w więzieniu — kazała powiedzieć mieszczanom, którzy zawsze niezłomną przechowywali jej wierność. W miejscu złożonego chorobą Mikołaja Turkowitha zawiadował sprawami miejskiemi ławnik Piotr Palczan. Jego to zręczności udało się niebawem zawiązać porozumienie z królową, i za przewodnictwem mieszczana Jerzego Bornemissy wszcząć układy z austryackim wodzem Rogendorfem.

Dzięki sympatyi, jaką piękna Jagiellonka wzbudzała nawet w nieprzyjacielskim obozie, dojrzała wkrótce tajemna umowa między nią a wodzem króla Ferdynanda.

Aby tylko bądź jak bądź uniknąć opieki tureckiej, posunęła się wychowana w najgorliwszej wierze chrześcijańskiej królowa aż do tego, że za pomocą oddanego sobie mieszczaństwa przyrzekała wpuścić Austryaków do twierdzy i zrzec się Węgier i Siedmiogrodu a poprzestać na dobrach zagwarantowanych sobie traktatem.

Nie zapomniała jednak nieodrodna wnuka Jagiellonów o świętych obowiązkach względem swej nowej ojczyzny. W jednym z naczelnych punktów umowy musiał Rogendorf przyrzec w imieniu swego pana, że wszystkie starożytne wolności Węgier pozostaną we wszystkiem nietykalnemi i nieuszczuplonemi, tudzież że rządy Węgier poruczy Ferdynand rodowitemu Węgrowi.

Jeżeliby to jedno nie wystarczało, aby szlachetną postać naszej Jagiellonki przekazać czci i pamięci potomności, to dopiąłby tego nieodzownie punkt drugi, gdzie wyraźnie zastrzegała nietykalność majątków i osób wszystkich panów węgierskich, którzy oświadczyli się przeciw Ferdynandowi. Tym sposobem chciała salwować swych własnych nieprzyjaciół i ciemięzców. Sobie nie warowała królowa nic więcej prócz dopełnienia warunków znanego traktatu z królem Januszem.

Aby się zabezpieczyć przeciw perfidii austryackiej polityki domagała się, aby tę ugodę sekretną podpisał sam Ferdynand.

Mieszczanie podjęli się otworzyć wojsku rakuskiemu małą bramę od cmentarza Matki Boskiej a w ten sposób mógł Rogendorf bardzo łatwo obsaczyć twierdzę, nim jeszcze nadejdzie odsiecz turecka. Wszakże niedołęztwo austryackiego wodza, jakoteż wiele innych przypadków nieprzyjaźnych nie dozwoliło dokonać zręcznie uknutego zamysłu. Z brzaskiem umówionego dnia przedarli się byli Austryacy aż do środka miasta, ale zaskoczeni od żołnierzy Petrowicza i reszty załogi musieli z hańbą uchodzić, zanim jeszcze sam Rogendorf z głównym korpusem mógł przyjść w pomoc.

Nieszczęśliwy skutek zamachu mieszczan odjął królowej wszelką nadzieją wyswobodzenia się z pod przewagi magnatów.

Przywołany ich prośbami sułtan Soliman zbliżał się z ogromną siłą na odsiecz i wkrótce stanął pod murami Budzynia.

Niedołężny Rogendorf nie dość wcześnie odstąpił od oblężenia, toż otoczony z trzech stron odniósł dotkliwą klęskę, i ledwie z rozbitkami mógł umknąć do Komorna, gdzie umarł z ran otrzymanych w boju.

Zwycięzki sułtan rozparł się z armią swoją u bram starego Budzynia. Tatarzy zapędzali się w łupiezkich zagonach aż po Strygoń i Nitrę a wszystkich jeńców z ostatniej wojny wymordowali za rozkazem Sułtana co do jednego.

Po kilku dniach wypoczynku w obliczu samego Budzynia posłał Soliman w swojem i swojego syna imieniu bogate upominki królowej czyli raczej jej dziecęcemu synowi. Byłyto cztery złotem przetykane suknie, złoty łań-

cuch i trzy wspaniałe konie w kosztownych, od złota i dyamentów lśniących rzędach i przyborach. Wszystkim dowódzcom królowej nadesłał również bogate suknie i łańcuchy złote. Izabella sama otrzymała pierścienie i klejnoty nieocenionej wartości kilka złotych łańcuchów i welon babiloński.

Pozorna ta łaska potężnego sułtana nie uchyliła bynajmniej obaw i uprzedzeń królowej i kiedy na uroczysty obchód zwycięzkiej odsieczy grzmiały działa z bastyonów twierdzy, spiewano Te deum w kościele, a panowie opiekunowie jak najżywszej oddawali się radości, to młoda królowa siedziała zalana łzami w swych komnatach, a obijający się o jej uszy znamiona wesela całe inny w sercu budziły odgłos. Pomoc i opieka niewiernych, których od dziedzińśtwa nauczyła się polska królewna nienawidzić jako najsroższych nieprzyjaciół swej religii i ojczyzny przepełniały ją smutkiem i zgrozą, z pogodniejszym umysłem przyjęłaby była niezawodnie najsroższy cios losu niż te łaski i obietnice tronu i korony z krwawych rąk Solimana.

Wszakże daleko sroższa czekała ją jeszcze próba. Soliman zapragnął na własne oczy ujrzeć potomka swego nieboszczyka sprzymierzeńca, wyprawił też posła do Budzynia z następującem zleceniem do Izabelli:

— Prawo proroka nie pozwala sułtanowi odwiedzić królowę samą. Pragnie on jednak koniecznie uściskać dziecię człowieka, którego niegdyś zwał swym bratem, prosi zatem królowę, aby mu je przysłała niezwłocznie do obozu. Sułtan oglądnie je i uściska i jeszcze tegosamego dnia odeszle napowrót pod pieczę matki.

Niesłychana trwoga ogarnęła Izabellę. Powierzyć jedyne dziecię rękom Solimana, którego samo imię przejmowała zgrozą i postrachem każdego chrześcianina byłato próba nad jej siły. Zatrwożona wyobraźnia stawiła jej przed oczy tysiące najdziwniejszych niebezpieczeństw, dręczyła umysł tysiącem obaw i podejrzeń.

Lecz nie było czasu do namysłu i wahania się. Nie usłuchawszy prośby sułtańskiej można się było narazić na gniew jego, który w obecnym razie mógł gromem ugodzić nietylko w królowę samą ale i królestwo całe.

Toż po długich walkach z sercem przepełnionem rozpaczą uległa nieszczęśliwa matka żelaznej konieczności. Ustroiwszy dziecię w szaty wspaniałe, powierzyła je wraz z mamką i kilką przybocnemi matronami opiece opiekunów i dygnitarzy, spieszących również do obozu Solimana.

Już cały orszak wyruszył z zamku, gdy królowa nie mogąc mimo wszelkich wysileń zwalczyć swego wzruszenia i niepokoju, przyskoczyła do mamki i raz jeszcze uściskawszy dziecię, ozwała się drżącym głosem do dawnego przyjaciela nieboszczyka króla Janusza Walentego Töreka:

— Twój towarzysz Jerzy Martinuzzi jest opiekunem mego dziecięcia, ale to mnich co nie miał nigdy dzieci i nie zna uczucia rodzicielskiego. Lecz ty, ty masz żonę i dzieci, ty wiesz co to uczucie dla dziecięcia, tobie powierzam dziecię moje jedyne. Czuwaj nad niem i ustrzeż je od wszelkiego przypadku.

Po tem ostatniem upomnieniu stroskanej matki wyruszył świetny orszak z wszelką okazałością potrzebną do obozu zwycięzkiego sułtana.

Izabella usunęła się do swych najbardziej odosobionych komnat i rzucając się na kolana przed wizerunkiem Zbawiciela przepędziła kilka godzin w gorącej modlitwie. Nagły i nieprzewidziany wypadek podwoił jej przestrach, przejął ją tem sroższem podejrzeniem.

Zaledwie orszak z królewskiem dziecięciem wyruszył za miasto, przybliżyły się ku bramom twierdzy drobne oddziały janczarów i śród żywych rozmów, śmiechów i żartów, zaczęły wchodzić jeden po drugim do twierdzy, jakoby chcąc tylko z ciekawości przypatrzyć się wnętrzu Budzynia. Żołnierze węgierscy nie śmieli bronić orężem przystępu zwycięzkim sprzymierzeńcom i oswobodzicielom, toż chyłkiem, milczkiem wsunęła się kupka po kupce do miasta i w jednej chwili stanął silny hufiec między murami Budzynia, jakby zaklęty z pod ziemi. A zanim jeszcze nierozważni Węgrowie powzięli podejrzenie, uszykował się już jeden oddział po drugim, a obaczywszy znienacka wszystkie ważniejsze punkta i straże, pokazali się nieproszeni goście w całe odmiennej postaci.

Jedni rzucili się rozbrajać straż przy bramach i murach inni zajęli posterunki po wszystkich częściach miasta a jeden hufiec ustawił się na rynku, gdzie dowodzący aga zwiastował przerażonym mieszkańcom, że wolą jest sułtana, aby wojska tureckie obsaczyły Budzyn a mieszkańcy złożyli broń i zachowali się kornie i spokojnie pod utratą gardła i mienia.

Na widok tego wszystkiego nie miała już granic rozpacz i trwoga nieszczęśliwej królowej, dziecię jej zdawało się postradane na zawsze a nawet jej własna osoba zdawała się wielce zagrożoną. Wojska tureckie opanowały i rozbroiły bezopornie całe miasto a przez rozwarte na ścieżaj bramy wkroczyło do Budzynia dziesięć tysięcy nowego żołnierza doborowego,

W tem wśród ostatecznego zwątpienia, śród wezbranej do gwałtownego wybuchu rozpaczy młodej matki okazał się za ostatniemi szeregami Jańczarów pod słabą zasłoną zbrojną nieliczny orszak kobiecy. Byłyto matrony dworskie i mamka królewskiego dziecięcia, wracając z obozu bez żadnej niemiłej przygody.

Owszem sułtan Soliman przyjął dziecięcego króla z niepospołitą uprzejmością. Sanczakowie, cesarzowie i najdostojniejsi urzędnicy dworu sułtańskiego powitali go jeszcze przed okopami obozu i wśród wspaniałych ceremonii wprowadzili przed oblicze Sułtana. Kwilące dziecię nie chciało przejść na ręce opiekuna Petrowicza, sama więc mamka musiała przedstawiać je Sułtanowi. Dawny obrońca i sprzymierzeniec krola Janusza przychylił się z przymileniem do twarzy dziecka, a znalazłszy w rysach niejakie podobieństwo do ojca ucałował je z największą serdecznością.

Potem hojnie udarował królewską mamkę i królewskie piastunki i po niejakiej zwłoce pozwolił całemu orszakowi wrócić bez przeszkody do Budzynia. Tylko obudwu opiekunów i resztę dygnitarzy zatrzymał w obozie i łaskawemi słowy zaprosił na ucztę, którą na cześć ich przybycia z wielkim kazał przyrządzić przepychem.

d. c. n.

ZWIERCIADŁO,

w którem obaczy każdy co chce i czego nie chce.

I.

Od łyczka do rzemyczka.

Czarodziejskie moje zwierciadło osłoniło się na chwilę jakąś mgłą nieprzejrzystą. Długo patrzyłem w nie, ale ani figur rozeznać, ani głosu, który z niego wychodził, dobrze słyszeć nie mogłem. Po niejakim czasie przeszła mgła, a w zwierciedle ujrzałem znowu wszystkich moich znajomych. Prosiłem tedy ich uprzejmie, aby opowiadającemu pozwolili powtórzyć powieść swoją, której dalej dosłyszeć nie mogłem. A przytem zapytałem, coby mogła znaczyć owa mgła, która mi na chwilę zasłoniła widok.

Obwiniony zwrócił do mnie głowę, zasłonił ręką oczy, a potem rzekł:

— Gruba, ciężka mgła przeciągnęła po nad nami. To kłęby dymu z pobojowiska, to tysiące dusz, które leciały do nieba. Wtej bowiem chwili stoczono wielką bitwę — tysiące zginęło — jedni za ojczyznę, drudzy dla przysięgi.

Wtej chwili powstał wielki zgiełk, najbliżsi zaczęli grozić opowiadającemu, a ten mówił dalej:

— Patrzcie, oto Bóg otwiera niebo swoje i wszystkich zarówno przyjmuje na swoje łono....

Wtem zerwał się wicher, rozdzielił mgłę na dwa obłoki, jeden wionął ku niebu, a drugi jak szron osiadł na liściach drzewa. Kilka chwil trwało milczenie. Wszyscy patrzali na ten widok szczególny, co widząc obwiniony, ozwał się do rzeszy w te słowa:

— Moje słowa was zadziwiły, a nawet niektórzy z was poczęli się gniewać, ale pozwólcie mi dokończyć historyi mojego żywota, a wtedy będziecie sądzić.

A gdy wszyscy na dawne swoje miejsce powrócili, ciągnął obwiniony dalej swoje opowiadanie:

— Powiedziałem wam, że w moim domu rodzicielskim nastąpiła scena, której nigdy nie zapomnę. Pamiętam skończyłem był szkoły czy raczej naukę, a jak skończyłem, to już wam wiadomo. Przyjechałem do domu rodzicielskiego. Dawniej były te chwile dla mnie najszczęśliwsze. W mieście jakoś wszyscy ludzie wyglądają na równych sobie, a przynajmniej mają pretensyą uważać siebie za równych wszystkim innym istotom na podobieństwo Boga stworzonym. Przyznam się wam szczerze, że to nie bardzo było mi na rękę. Bądź-co bądź, przecież różnica być musi w społeczeństwie, jeżeli nie dla czego innego, to przynajmniej dla tego, aby uniknąć tej monotonii, która już i Amerykę znudziła. Śmiejcie się ze mnie, ale szanujcie moje zasady tak jak ja przeciw waszej nie występuję. — Otóż miasto nigdy mi się nie podobało, a może ten mój wstręt do miasta był przeczuciem, że kiedyś będę musiał ze skruchą spowiadać się wszystkich grzechów mego żywota!...

...Przyjechałem na wieś, gdzie był dwór moich rodziców. Wszystko, co żyło, przyjęło mnie z wielką uniżonością, i czułem, że byłem wyższym od wszystkich. Wprawdzie tę wyższość naszą exploatują filantropi w sposób najnudniejszy, prawiąc o obowiązkach, jakie mamy względem poruczonego naszej opiece ludu, ale cała ta ich gadanina do niczego nie doprowadzi. Tak sobie wówczas myślałem, chodząc uszczęśliwiony między ubogiemi lepiankami, z których jakby na komendę pochylały się głowy kobiet i starców. Ale niedługo trwały te ferye. Nadszedł dzień wniebowstąpienia N. P. Maryi. Już rano spostrzegłem we dworze jakiś ruch niezwykły. Stangret zaprzągł do karyolki i gdzieś wyjechał, Kozak siadł na deresza i z listem popędził, a gumienny zakasał poły i ruszył przez ogród do wsi sąsiedniej, w której był kościoł nasz parafialny. Domyśliłem się, że się na coś zanosi. Ale ojca nie pytałem o nic, bo tego nie lubił. Matka miała oczy czerwone, jakoby w nocy nic nie spała.

...Około dziesiątej godziny wszedł ojciec do sali. Miał on na sobie ubior dawny e jaskrawych kolorach, jak to widziałem na konterfektach antenatów naszych. Rzadko kiedy tak się ojciec ubierał, a zawsze zapowiadało to coś nadzwyczajnego, a każdy z rodziny był pewnym, że coś się stanie, co długo nie wyjdzie z pamięci. Otóż przystąpiwszy do mnie rzekł mi ojciec: Zbierz się asan, pojedziemy do kościoła, bo dzisiaj na intencyą aspana będziemy wszyscy słuchali mszy świętej.

...Po mszy świętej przyjechawszy do domu zastaliśmy już starego naszego sąsiada pana Damazego, stary kapitanisko o jednej nodze a dwóch orderach na granatowym fraku także już siedział na krześle i gładził czuprynę, a wkrótce potem nadszedł i nasz pleban, młody jeszcze człowiek i nieco gorąco kąpany. Dziwiło mię to, że jakoś wszyscy nie byli weseli, jak to niegdyś bywało, a matka moja nawet jakoś nie rada była gościom, chociaż w całej okolicy słynęła z swojej gościnności. Ale poczciwy kapitanisko bynajmniej nie zraził się kwaśnym humorem gospodyni. Począł prawić po raz setny anegdotki o Napoleonie, a zawsze z równym prawił zapałem. W końcu, gdy mu już za długo było, przymówił się o kminkówkę i zakąskę. To przyprowadziło moją matkę do opamiątania. Zadzwoniła, a za kilka chwil zastawiono stół różnemi przedobiadowemi przekąskami.

...Wtedy to, po pierwszej czy drugiej kolei jakiegoś kordyału powstał mój ojciec i uroczystym rzekł głosem: Dawniej bywało u nas zwyczajem, że nie przystąpiono do żadnego ważnego aktu, nie zaradziwszy się wprzód sąsiada plebana i przyjaciela. Pleban, przyjaciel i sąsiad musieli wglądnąć w każdą tajemnicę familijną i rozstrzygnąć, czy rzecz jest godziwa, czy nie. Otoż zaprosiłem was dzisiaj, abyście dali zdanie swoje o tem, co wam powiem.

...Pan Damazy i ksiądz pleban usiedli z pewną uroczystością, aby słuchać mego ojca, ale ze starym kapitaniskiem trudniejsza była rada. Zaproponował bowiem jeszcze jedną kolej kordyału, a gdy życzeniu jego zadość się stało, oświadczył się cały na usługi przyjaciela.

...Mój ojciec zaczął: Wiecie, w jakich stosunkach my dzisiaj żyjemy. Nikt tu nas nie pomówi, żebyśmy te stosunki pochwalali, albo lgnęli do nich. Nie mamy własnego pana, obcych słuchać potrzeba. Świadczę się wami, żem

się nigdy do nich nie garnął, i o ich łaskę nie stał. I tradycyom trzeba zadość uczynić. Zakopałem się tu daleko od świata, i zdaje mi się, żem wypełnił mój obowiązek. Tymczasem świat coraz chyżej mknie naprzód a co raz dalej zostawia za sobą przeszłość niepowrotną...

...Na to zerwał się kapitanisko o jednej nodze i krzyknął: Co mówisz! przeszłość niepowrotna... oho, oho... nie bój się bracie, wróci jak mi Bóg miły, i ja jeszcze stary i kaleka...

...Mój ojciec uśmiechnął się cierpko i rzekł: Tak i ja niegdyś mawiałem, gdy mi się mocniej czupryna kurzyła, ale wziąwszy rzecz na rozwagę... to wszystko jest niepodobieństwem!

...Tu wstał ksiądz pleban, a zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawołał: U Boga nie ma nic niepodobnego!

...To są słowa mój księże dobrodzieju, odparł mój ojciec — ale słowami niczego nie dokażesz. Upadliśmy głęboko, zaprzaliśmy się całej naszej przeszłości, samolubstwo górę wzięło... a ty chcesz dzisiaj, aby dla nas Bóg cuda działał?

...Pan Damazy potarł się po czuprynie i zawołał: Jeżeli sąsiad kochany takie ma dla nas bakalie a nic więcej, to mu za nię uniżenie dziękuję. Nie jestem zbyt mądrym człowiekiem, nie wiem, co tam Europa zapisała do aktów swoich, ale tu, w tej starej piersi jest coś zapisane, czego nikt nie zmaże! Nie bój się bracie, dźwigniemy się jeszcze z naszego upadku, a im dłużej spaliśmy, tem sil, niej i raźniej potem pracować będziemy.

...I to są słowa a nic więcej kochany sąsiedzie, mówił mój ojciec, a słowa te są puste jak nadęte pęcherze. Otóż to całe nasze nieszczęście, że bawiąc się temi słowami, zostajemy w tyle cywilizacyi europejskiej, podczas gdy inni nas wyprzedzają. Chcemy leżyć bezczynnie jak ofiara rzucona na ziemię, a nikt na nas nie patrzy. Jeżeli czarny niewolnik zamiast pracować, legnie przy snopie aby marzyć o gorących piaskach ukochanej swojej ojczyzny, gdzie był tak wolny jak ptak złotopióry, to pewnie nie dobije się swojej wolności. W przeciwnym razie, przy pracy i poświęceniu się mógłby prędzej wyjednać sobie w niewolnym stanie swoim kilka chwil wolniejszych... znośnych...

...Mój ojciec musiał się tutaj zatrzymać, bo ani pan Damazy, ani pleban, ani kapitan stary nie radzi jakoś go słuchali. Pan Damazy pukał po łysej pałce swojej, kapitan bębnił po swojem szczudle, a pleban zbierał pyłki prochu z nowej swojej sutany, i miał minę człowieka, który bynajmniej nikogo nie słyszy. Spostrzegł to ojciec, a zmarszczywszy brwi mówił dalej: Widzę, że moja mowa nie przypada wam do smaku. Byłem na to przygotowany. Wiem, jak to bolesno jest oderwać się od miłych wspomnień. Jabym dziś jeszcze nie potrafił tego uczynić, choć długo już nad sobą w tej myśli pracowałem. Wszystko bowiem należy od wychowania naszego. Myśmy wzrośli w adoracyi naszej przeszłości, oddalenie tej przeszłości od naszego oka dozwalało nam tylko jej piękne strony widzieć, a rozmiłowawszy się w nich, tęsknimy za nią, jak kochanek za utraconą kochanką. Ale zapatrując się trzeźwo na stosunki dzisiejsze, sądzę, że potrzeba raz wybrnąć z tej bramińskiej naszej kontemplacyi i pogodzić się z tem, co jest. Inaczej, kraj cały stanie się jednym wielkim szpitalem bezczynnych inwalidów, a ludzie obcego pochodzenia zepchną nas w końcu z ziemi rodzinnej....

...Stary kapitanisko skoczył na to jak oparzony, i tak szybko sztylhutał po sali, jakby drewnianą jego nogę nagle coś zelektryzowało. Po chwili stanął przed moim ojcem, rozparł się z miną butną, jakby chciał go na pałcaty wyzwać, i pokiwawszy głową rzekł w końcu: Widzę kochany bracie, że ci obca nauka mózg w głowie wywróciła, bo pleciesz nie do rzeczy. Jakto, my mamy się pogodzić z tem co jest i co się stało?

...Mój ojciec uśmiechnął się cierpko i odparł: My nie, bośmy tego niezdolni, ale dzieci nasze muszą się pogodzić. Dla tego wychowując syna mego powiedziałem: *Educabis filium in spe utriusque religionis*!

...Przyszła kolej na księdza plebana. Zerwał się na nogi, co mu łatwiej było, jak staremu kapitanowi, i krzyknął: To herezia mości dobrodzieju, to wyrzekł niegdyś król heretyk, któremu milszą była korona na głowie syna, niżeli własna jego religia. A przecież pan dobrodziej nie chciałbyś dla jakiejś marnej błyskotki, w którą syn ustroić się może, porzucać wiarę ojców, która każe nam po Bogu kochać to wszystko, co nam ojcowie nasi w spuściźnie po sobie zostawili!

...Mówią uczeni i lekarze, że długoletnie cierpienia wytępiają w człowieku uczucia wznioślejsze, a przynajmniej przygłuszają je na czas niejaki. Mój ojciec należał do tych ludzi, którzy przywiązani do kraju, wiele w duszy cierpieli z powodu jego klęsk i nieszczęść. Na słowa jednak plebana odpowiedział teraz zimnym uśmiechem ironii jak mąż dojrzały, gdy mu ktoś mówi o potłuczonych cackach zabawek dziecinnych.

...Pan Damazy, który dotąd nic nie mówił, tylko wąs niemiłosiernie targał, powstał z wielką uroczystością i zapytał ojca: Mówiłeś wiele rzeczy, kochany sąsiedzie, których nie mogłem dobrze pojąć. Nie wiem, jakiemi drogami tam teraz świat idzie. ale to wiem, że czem się kto urodził i czem nasiąkł, tem zostać powinien *usque ad finem*. Ale krótko mówiąc powiedz mi, cóż więc chcesz z synem uczynić?

...Ojciec spokojnie mówił dalej: Wielki książe raczył zwrócić przed pięciu laty na mnie swoją uwagę i zapytał mnie czy nie mam syna. Był wielce miłościw na mnie i mówił mi, abym go służbie wojskowej poświęcił, a on sam zajmie się jego przyszłością. Antenaci moi mieli własne chorągwie i siedzieli na krzesłach senatorskich. Mam więc cały mój ród zagrzebać w tym dworku szlacheckim?...

...Głuche milczenie było w sali. Wszyscy patrzali na siebie i porozumiewali się jakoś między sobą tylko oczami. Matka najpierwsza przerwała to złowrogie milczenie. Rozpłakawszy się w głos zawołała: Mój syn żołnierzem!

...Ojciec przystąpił do niej, a biorąc ją za rękę rzekł: Niech cię to nie zastrasza moje serce, że nasz syn będzie żołnierzem. Dawniej miało to inne znaczenie. Dzisiaj jest to tylko karyera a nic więcej. Jeżeli dzisiaj lepszego imienia potomek wchodzi w służbę wojskową, to na to, aby się dosłużył jakichś honorów. Sąsiad nasz przeznaczył jednego z synów na księdza, a dałbym za to gardło, że ka-

pełsz kardynalski miga mu przed oczyma. Moi antenaci mieli chorągwie i siedzieli na krzesłach senatorskich....

...W sali stało się wielkie zamieszanie. Matka płakała, pan Damazy coś głośno mówił, a że stary kapitanisko chciał także swoje zdanie wynurzyć, a gorąco kąpany ksiądz pleban nie chciał także być ostatnim, więc powstał taki gwar i zamęt, żn aż służba się zbiegła, nie wiedząc co się stało.

...Tymczasem mój ojciec wziął mię za rękę, a całując mnie w czoło rzekł do mnie: Widzę mój synu, żeś mnie zrozumiał i rad jestem z tego. A ja na to zawołałem: Nie prawdaż tateńko, że wielki książę zrobi mnie swoim adjutantem? Wtedy sprzedam siwkę a kupię sobie lorda, potomka błyskawicy.

...„Ten człowiek za dwa lata sprzeda swoją ojczyznę“ krzyknął stary kapitan, a gdym się do niego chciał zwrócić; już w sali prócz ojca i matki, nie było nikogo.

(D. c. n.)

Biblioteka Warszawska na miesiąc Październik.

Na czele tego zeszytu mieści się odstraszająca dla szukających w czytaniu rozrywki rozprawa pana Wojciecha Trzetrzewińskiego „O podatkach gruntowych stałych w Królestwie polskiem obecnie istniejących.“ Rzecz niezmiernie ważna i niezmiernie oschła. Nie dziwna, bo przedmiot sam t. j. podatek, należy do tych osuszających najobfitsze źródła środków, których finansowe gieniusze bardzo wiele poobmyślali. Ekonomiści twierdzą wprawdzie, że podatek podnieca do większej czynności, do silniejszego zasycania owych źródeł, z których się czerpie, i że wysokie podatki bywają znamieniem bogactwa w kraju. Nam nie wypada występować tu w roli ekonomistów, tylko w roli sprawozdawców literackich — więc trzymamy się tego bardzo pospolitego, choć nieumiejętnego zdania: że podatki osuszają kieszenie, a rozprawy o podatkach czynią oschłemi pisma literackie.

My uważamy rozprawę taką dziś ze stanowiska *profani vulgi* i powiadamy, niech sobie statyści i publicyści suszą głowę nad tym „nieoszacowanym materyałem“ (a takim jest rzeczywiście rozprawa p. Trzetrzewińskiego), lecz my ziewnąwszy raz i drugi nad nią, przechodzimy do artykułu o „Alfredzie Tennysonie i jego dziełach.“ Nim się jednak na dobre weźmiemy do Tennysona, czynimy jak człowiek, który odchodząc wraca od drzwi by jeszcze coś dodać do skończonej rozmowy. Otóż pozwalamy sobie dodać że i o podobnych rzeczach jak podatki, można pisać w sposób zajmujący. Przykłady tego mamy dość liczne w piśmiennictwie francuzkim, a szczególnie na rodaku naszym po francuzku piszącym: Ludwiku Wołowskim, który umie rozprawami ekonomicznemi tak rozweselać czytelnika jak niejeden komedyopisarz nie potrafi pomimo najgwałtowniejszego silenia się na dowcip. Pojmujemy bardzo i wiemy to z doświadczenia, że przyprawianie takich rozpraw solą i pieprzem dowcipu niepodobne jest pod cenzurą rosyjską, więc przypisujemy chętnie oschłość rozprawy p.Trzetrzewińskiego cenzurze rosyjskiej.— „Alfred Tennyson i jego dzieła“ przez Władysława Chomętowskiego jest artykułem prawdziwie przeglądowym z rodzaju tych, jakie przywykliśmy czytywać w Revue de deux Mondes, Revue Contemporaine lub niektórych angielskich Review's. Niech się niezraża czytelnik tem, że w rozprawie p. Chomętowskiego doczyta się wszystkiego, tylko nie wiadomości o życiu i dziełach Tennyson'a, bo jest to artykuł oznaczony liczbą I, która zapowiada szereg cały dalszych. Jakoż i z treści podanej na wstępie całej rozprawy łatwo się tego domyślić. Rozprawa p. Chomętowskiego ma zawierać: Rzut oka na literaturę angielską w pierwszej połowie naszego stulecia do Tennysona; dalej dopiero Alfred Tennyson i jego stanowisko w literaturze, przegląd jego dawniejszych utworów, nareście rozbiory kilku najważniejszych pojedyńczych. A zatem tu mamy Rzut oka na literaturę angielską w pierwszej połowie naszego stulecia do Tennysona.

Biednaż ta połowa naszego wieku (czyli jak wielu chce koniecznie stulecia) — ileżto burz przegrzmiało w tym czasie po naszej maluczkiej ziemi, ile krwi popłynęło, ile nadziei spełzło! — Narody zmartwychwstawały i zapadały się w groby na nowo; trony stawały się podnóżami bohaterów i bohaterowie z tronów uchodzili na skały samotne wygnańców; krwią męczenników ludowych broczyły się rusztowania zbrodniarzy, wielotysięczne zastępy walczących za swobody narodów chroniły się na wychodztwie przed zemstą królów i znowu narody wskazywały królom koleje wychodźtwa.

Te olbrzymie zapasy na polu czynów, miały odpowiedni sobie ruch na polu życia umysłowego. Podobneż władanie pojedyńczych wielkich geniuszów nad ogółem myślących i piszących i podobne znikanie kolosalnych jednostek w odmęcie wzburzonych namiętności.

Po panowaniu pojedyńczych wyższych w piśmiennictwie talentów następuje coś nakształt bezkrólewia. Tak w piśmiennictwie nadobnem angielskim po śmierci Popego nastąpiła stagnacya długa, która się rozwiązała wydaniem kilku władzców nowej ery: Graya, Collinsa, Goldsmitha, Cowpera i Roberta Burnsa. Ci trzej ostatni szczególnie są dotąd znani w całej Europie, chociaż naród angielski, który przestał już należyć do „zabijających własne proroki“ przyznaje Grayowi równe z Goldsmithem i Cowperem znaczenie.

Tenże sam duch sprawiedliwości w narodzie angielskim przyznał niejednemu pisarzowi pośród siebie wielce ważne stanowisko, którego wielka publiczność obca zaledwie że zna z nazwiska. Jak z powyżej wymienionych Goldsmith, Cowper i Burns zaćmili wobec reszty Europy niemniej zasłużonych Graya i Collinsa—tak z późniejszych poetów Rogers i Coleridge, Southey i Wordsworth mało są znani: Jednakowoż Rogersa „Italy“ i Coleridga „Christabell“ zalicza p. Chomętowski nie według własnego jedynie zdania w poczet najcelniejszych utworów literatury angielskiej, ale opiera się w tem na faktycznym wpływie, jaki ci obaj poeci wywarli na Walter-Skotta, Byrona, według własnego tych autorów wyznania. Coleridge zwłaszcza łączy w sobie wszelkie cechy doskonałego poety. Ale nie zawsze doskonałości urok zjednywa zasłużoną sławę i wziętość. Trafnie uwydatnił p. Chomętowski przyczynę rozgłosu jaki w pe-

wnych epokach zyskują pisarze, których znaczenie i wpływ z czasem gaśnie, aby uwydatnić trwalszy blask innych. Przyczyną taką jest przejęcie się autora duchem swojego czasu. Kto skupił w swem sercu najgorętsze swego czasu uczucia, kto nadał wyraz wrzącym w duszach współczesnych namiętnościom, nadał lico nadziejom, wyraził natchnionem słowem lub dzwiękiem swego narodu zapały, żale, nadzieje, rozpacze — ten staje się prorokiem chwili, prorokiem nieodsłaniającym przyszłości, ale objawiającym tajemnice ukryte w głębi serc swego narodu. Powołanie jego piękne ale znikome. Takim poetą był Byron dla całej spółczesnej Europy, takich mieliśmy także w pewnych bardzo stanowczych dla narodu chwilach.

Posłannictwo ich trwa póki w narodzie lub ludzkości trwa gorączkowy i często chorobliwy nastrój duszy, którego oni stali się wyrazem. Takim to prorokiem chwili był Byron, „wpływ jego, mówi p. Chomętowski, był tylko chwilowy“ zwłaszcza na litereturę angielską. Większy wpływ wywarł on na obcych niż na angielskich pisarzach.

Przytacza p. Chomętowski zdanie jednego z najcelniejszych krytyków francuzkich, który porównywa między sobą Napoleona, Rossiniego i Byrona jako przedstawicieli epoki, „która jakby przeczuwając skon bliski, stara się jak najspieszniej używać życia.“ Nazywa tych trzech geniuszów krytyk francuzki „nie zdobywcami na polu umysłowem, artystycznem i bojowem, ale niewolnikami epoki, która, wydawszy ich na świat, pobudziła do czynu i utrzymywała.“ Byron jest w poezyi, jak Napoleon był w polityce, a Rossini w muzyce gieniuszem rewolucyjnym. Tak twierdzi krytyk, niezupełnie się z nim zgadzamy i p. Chomętowski niezupełnie się zgadza, ale w jednem zgadzamy się z obydwoma t. j. że burzliwy geniusz Byrona „mało zważał na to, czy w tem lub w owem miejscu nie zaprzeczy samemu sobie, kiedy mu chodzi głównie o wywołanie silnego effektu że najczęściej jednę namiętność wystawia przeciwko drugiej, a jeżeli niekiedy jaki dobry pierwiastek czyli poczucie człowieczej godności zakołata do serca którego z bohaterów, to tak nieśmiało i słabo, iż odgadniesz łatwo, że to nie głos silnie budzącego się sumienia, ale raczej tylko chwilowe rozdraźnienie, które go wkrótce jeszcze w większą pogrąży przepaść“.

Pomimo tego stoi Byron, jako reprezentant nowej, chociaż przemijającej epoki, na stanowisku wszechdziejowem ma on znaczenie dla całego rodu ludzkiego.

Drugim, ważniejszym nawet filarem piśmiennictwa angielskiego był Walter-Skott— ważniejszym, bo wpływ jego bardziej stanowczy reformą jaką zdziałał w powieściopisarstwie trwalszy i gruntowniejszy. Stworzył on nowy rodzaj w piśmiennictwie nadobnem „romansu historycznego“. Niepierwszy już p. Chomętowski czyni to spostrzeżenie, że W. Skott zajmuje w dziedzinie romansu to samo miejsce, co Szekspir w dramacie. Spostrzenie to jest dowodnie stwierdzone. Obaj z jednakowych prawie czerpali źródeł obudwu geniuszów jedna potęga i wielkie pokrewieństwo obudwu. Walter-Skott będzie zawsze należał do mistrzów w powieściopisarstwie historycznem, Byron zaś świeci jako pomnik oznaczający swoją epokę w dziejach piśmiennictwa lecz wpływ jego już przeminął. Trzecim z rzędu między tymi świecznikami poezyi angielskiej jest Tomasz Moore, bardziej nam zpokrewniony duchem niż obaj poprzedni, bo jako Irlandczyk „przekazał w swoich pieśniach łzy i bole narodu, którego był synem“.

Tak okazuje nam po kolei pan Chomętowski; S o u t h e y a tego mistrza słowa zarówno jak dźwięku, zarówno celującego w prozie jak w poezyi: W o r d s w o r t h a, J o h n'a K e a t s i S h e l l e y a w zawodzie poezyi a M a c a u l a y a, M a h o n a i A l l i s o n a w zawodzie prozy, jako wzory i pierwsze ozdoby piśmiennictwa angielskiego. Przeprowadziwszy nas pomiędzy te posągowe postacie, jakoby przez przedsionek do świątyni, którą otworzyć zamyśla, wzbudza p. Chomętowski oczekiwanie wielkie na to, co w tej świątyni samej znajdziemy. Poświęca on ją wyłącznie Tennysonowi. Musiż być Tennyson bóstwem godnem, aby przedsionek jego świątyni zdobiły tak wielkich bóstw wizerunki, musiż on być większym od nich lub im równym? Niekoniecznie. Przypomnijmy, że i w dawnych świątyniach zdobiono nieraz przedsionki i przyczołki świątyń poświęconych bóztwom drugiego rzędu wizerunkami książąt Olympu. Nie czynimy też z tego zarzutu p. Chomętowskiemu, bo chodziło mu o wykazanie stanowiska dziejowego, jakie Tennyson w literaturze zajął. Z dalszego ciągu tej pracy będziemy dopiero sądzić mogli, czy p. Chomętowski nie uczynił Tennysona pieścidłem swojego krytycznego widzenia, czy też może wymierzy mu sprawiedliwość bez ujmy zasług a zbytnego pobłażania wadom. Na wszelki wypadek usprawiedliwiłaby nawet zbyt korzystne ocenianie Tennysona okoliczność, którą autor przy końcu niniejszej rozprawki podnosi, że po za obrębem powieści, poezya uważana w ścisłem znaczeniu, od śmierci Waltera Skotta, opuściła swe skrzydła. Cały peryod lat dwudziestu od 1830 do 1850 r. dwóch tylko nowych przedstawia zapaśników wyższym obdarzonych talentem, a temi są: Alfred Tennyson i Milnes. Ostatni z nich jest odgłosem epoki, która odznaczyła się reakcyjną dążnością, zwrotem ku katolicyzmowi protestanckiej Anglii. Alfred Tennyson jest przedstawicielem „nowej poetyckiej szkoły w bieżącej epoce.“ Oczekujemy przedstawienia jego trzydziestoletniego poetyckiego zawodu.

Literacko-poetycka część jest w zeszycie październikowym B. Warsz. silnie zastąpiona. Od poglądu na poezyę najnowszą Wielkiej Brytanii przechodzimy do obrazu odwiecznej i średniowiecznej poezyi ludu Małej Bretanii. Sądziłby kto, że pokrewieństwo powinno zachodzić między poezyą krajów wspólnej nazwy. Tymczasem nic one nie mają ze sobą wspólnego. Owszem przeciwnie lud Małej Bretanii jest potomstwem wygnanych dziedziców Wielkiej Bretanii. Są to współplemienni owych Bardów, którzy uchodząc przed najezdnem płemieniem Anglosaksonów unieśli ze sobą swoje pieśni, miłość utraconej ojczyzny, wieczną tęsknotę za szczęśliwą przeszłością i wieczną nienawiść przeciwko Anglo-Saksonom.

Wszystko to są żywioły, które tylko podsycają ducha poetyckiego i przechowują się wraz z uroczemi podaniami od niepamiętnych czasów aż po dzień dzisiejszy.

Bardowie wygnani z Wielkiej Brytanii przenieśli do bratniej Armoryki (czyli Małej Bretanii) w pieśniach swoich podanie o walkach ostatecznych druidyzmu z chrześcian-

stwem. Wieść o czarodzieju Merlinie tak rozmaicie wyzyskiwana przez poetów tutaj ma swoją ojczyznę. Sprawozdawca podaje nam ułamek pieśni o nim. Ułamek sam małej wartości ale przezto cenny, że są to żywe słowa, któremi konający druidyzm pożegnał świtające chrześciaństwo i pożegnanie to brzmi od dwunastu wieków niezmiennie w ustach ludu:

„— Merlinie, Merlinie powracaj — Bóg jedynym już czarodziejem.“

To jedno, co się dochowało. Reszta pieśni Bardów zaginęła i odrodziła się w średnim wieku już w zupełnem przekształceniu, jakim ją obdarzyli Truwerowie.

Bardów i Truwerów zastąpili później żacy czyli młodzi klerycy (kloaruk), którzy już pieśniom nadawali kształty dramatyczne pod nazwą mysteryów. Dziś już klerykowie przestali zasilać poetyckiego ducha ludu tego utworami swemi, ale nie stracił on przeto poetycznego usposobienia. Pieśń jest mu potrzebą, pieśnią on żyje, w pieśń przedzierżga się każde uczucie, każda myśl, każdy żal lub radość, nauka lub sąd tego ludu.

Pieśń schodzi tu często do prozaicznego znaczenia, bo staje się narzędziem polityki albo dydaktyki, ale to dowodzi wysoko-poetyckiego usposobienia ludu tego, że tylko w formie pieśni ma do niego przystęp prawda lub nauka, którą innemu ludowi głoszą dzienniki lub rozporządzenia władz administracyjnych.

Taki przykład przytacza autor z czasów cholery.

Lud bretoński w poetycznem swojem niedołęztwie uznawał dopóty za rzecz zbyteczną, a może i niegodną chronić się od tej plagi bożej środkami, jakich mu nastręczali lekarze, doradzał, nakazywał nareszcie i gwałtem narzucał rząd: dopóki nieujął jakiś Bard nowożytny przestrogi w formę pieśni.

Gdy pieśń zabrzmiała: „Pomnijcie chrześcianie! Oto sierpień nadchodzi, a z nim pragnienie, znój i niemoc. Kto nie posłucha rad moich, tego włożą pomiędzy cztery deski, a dzieci jego zostaną sierotami, biednemi sierotami bez opieki“ gdy ta pieśń zabrzmiała, dopiero lud począł się do obowiązku chronienie się od plagi.

Autor tego zajmującego artykułu przytacza kilka kantyczek, ballad i sonów (pieśni miłośnych) nareszcie treść całą dwóch bretońskich mysteryów. Czytając to zdaje się że autor wypisał te utwory z jakiej średniowiecznej księgi, gdy tymczasem on je czerpie z księgi żywej: z pamięci i twórczej fantazyi ludu — i zniewala do przyznania, że ta Mała Bretania jest istotnie krainą poezyi a Bretończycy to lud — poeta.

Następuje trzeci akt Lira, ten akt ogromny któren wystawia na tle burzy w przyrodzie najokropniejszą burzę namiętności ludzkich. Przekład jak w poprzednich, wierny i dźwięczny.

„Kronika paryzka“ zajmuje nas przedewszystkiem sprawozdaniem z odczytu p. L. Wołowskiego: O wielkim zamiarze Henryka IV., który zdaje się albo być skazówką dla Napoleona III czego Europa po nim oczekuje, albo dla Europy, czego się po Napoleonie III spodziewać może, i o poemacie prozą pisanym Edgarda Quinet: Merlin l'enchanteur. Dwa razy spotykamy się z Merlinem w tym zeszycie i słuchamy wieści o nim raz z ust ludu, do którego należał, drugi raz z książki pełnej głębokich pomysłów i najpiękniejszej poezyi, owocu ducha, który stanął nieledwie u szczytu wykształcenia dzisiejszego. Część krytyczna i polemiczna tego zeszytu B.W. jest zbyt suchą dla wielkiego koła czytelników, ale znajdą tak gramatycy, jak prawnicy i naturaliści dosyć zajmujące artykuły. P. W. Zieliński zamieszcza artykuł o Pseudonimach i Anonimach, w którym broni i zaczepia wedle okoliczności już tak często broniones i tak często zaczepianego zwyczaju ukrywania nazwisk autorów.

Wiadomości literackie zawierają między innemi ważne doniesienie: że Roepel zamierza wydać powtórnie przerobiony tom pierwszy swojej historyi polskiej i że równocześnie będzie wychodziło tłumaczenie polskie tego dzieła.

KLĘSKA WARNEŃSKA

11 listopada 1444 roku.

Niema podobnej chwili w dziejach narodu polskiego. Nie ma wypadku osłonionego tak mglistą boleścią, zgrozą i karą, taką poetyczną tragiką.

Oto rycerski, zaledwie dwudziestoletni młodzian, ślicznej urody i wspaniałego umysłu, monarcha potężnych dwóch królestw, Polski i Węgier, szczęśliwy obrońca całego świata chrześcijańskiego, odniósł właśnie zwycięztwo i tryumf nad wrogim Europie półksiężycem.

Na odgłos wieści takowej zabrzmiały ludy pieśnią wesela. Wracającego z wyprawy zwycięzcę witają mnodzy chrześcijańscy posłowie, składają mu uwielbienie panów swych monarszych. A jakież to serdeczne powody do takiego wesela. Błogosławiona jutrzeńka spokoju zeszła nad uciśnionemi narodami. Zniewolony pogromem sułtan zaprzysiągł na koran ciężkie dlań warunki pokoju, przymierze zaprzysiągł zwycięzki król Władysław na ewanielię. Następcy Mahometa nie broić już więcej w Europie. Toż wyprawia on liczne wojska swe do Azyi, na nowe podboje.

Radość wielka w Polsce, radość z pokoju i radość z nadziei bliskiego powrotu króla w progi rodzinne. I sam król młodzieńczy zda się utęskniać za niemi. Lecz inaczej chciał los jego.

Owi mnodzy posłowi przybyli z powinszowaniem, sam legat papiezki poczynają smucić się na wieść o ukończeniu wojny. Właśnie bo też pora do dalszych zwycięztw. Szczęście jaśniejące nad orężem młodego króla mogłoby na zawsze zbawić Europę, „Królu zerwij przymierze“ błagają posły. „Zaprzysiągłem je na lat dziesięć“ — odpowiada król chrześcijański. Lecz monarchom wielce pilnie wyręczyć się szczęśliwym bratem. Sam papież nawet zachęca do nowej wojny. Owszem wzdragającemu się złamania przysięgi królowi przesyła ojciec św. rozgrzeszenie. Zda się króla wzywać jego historyczne posłannictwo. Nalegany zewsząd przyzwala on „acz niechętnie“ na powszechne żądanie.

I jak niedawno radość tak teraz rozległ się smutek i lament po jego krajach. Tymczasem wyruszył król na

wojnę. Na granicy przybiegają doń polscy posłowie zaklinając do trzymania wiary. „Król zalał się łzami“ — lecz trudno było zaniechać zamiaru.

Miesiąc cały przyświecało chrześcijanom szczęście. „Ludzkością Władysława ujęte twierdze i miasta nieprzyjacielskie poddawały mu się dobrowolnie. Wreście nadeszła chwila stanowcza.

Dziesiątego listopada padło naszym ostatnie zwycięztwo, zdobycie Warny. Alić wnet nadciągnął sam sułtan z mnogiemi wojskami, cztery do pięćkroć razy liczniejszemi od królewskich. Już nazajutrz miano rozprawić się ostatecznie.

Wczesnym rankiem zaczęło się szykować wojsko. U stóp gór stanął środkiem obozu król z swojem rycerstwem. Prawe skrzydło zajęli w pierwszym rzędzie alianci, despota wołoski, biskup hagierski i inni, za nimi Polacy i Węgrzy; lewe nad błogtami nieliczne chorągwie.

Wkrótce spadło kilka tysięcy pogan z wielkim okrzykiem na nasze rycerstwo. Odparto ich mężnie. Wnet nadszedł nowy oddział. Cały bój spoczywał na prawem skrzydle. Widząc zachwiane szeregi podbiegł król na pomoc i rozbił ogromną liczbę nacierających. Zaczęto ścigać nieprzyjaciół za góry. Tam dopiero ujrzało wojsko nasze całą siłę nieprzyjaciół i kres swego powodzenia. W obozie tureckim znajdowało się mnóstwo wielbłądów. Ich widokiem spłoszone konie zaczęły unosić ścigających. Wszczął się nieład w szeregach, gdy daleko liczniejsze hufce muzułmańskie zaatakowały ich ponownie. W czasie niebezpieczeństwa pierzchli sprzymierzeńcy, a roty królewskie topniały ciągle w krwawym boju. Nawet węgierskie wojska odstąpiły swego monarchę, który ujrzał się wnet zawartym przez liczne tłumy jańczarskie. Dopieroż to wszczęła się wielka klęska. Walecznych obrońców rozsiekano prędko, a wkrótce padła głowa walecznego a tak nieszczęśliwego monarchy!

Dwóch tylko Polaków wróciło w progi domowe—reszta pozostała u Warny lub żywo poszła do Carogrodu w jassyr. Nie było nawet komu przynieść dokładnych szczegółów o całej klęsce. Toż nie mógł się długo z jej rzeczywistością pojednać naród. Mnóstwo baśni, powieści, krążyło długie czasy po królestwie polskiem. Mnóstwem lamentów, ubolewań, zabrzmiała Europa nad losem pełnego nadziei króla. Rozmiłowany w nim naród nie mógł przypuścić jego straty, widział go w niewoli, na pielgrzymkach w obczyźnie, pokutnikiem za grzech krzywoprzysięztwa. Domniemywania takowe przeszły w tradycyą, w podania dziejowe, na karty kronikarzów i dużo poźniejszych historyków. Według przekonania ludu, przyszło Władysławowi pięćdziesiąt lat przeszło opłakiwać grzechy. Drugie i trzecie pokolenia wyglądały jeszcze jego powrotu, marzyły o swoim pustelniczym monarsze. Nad dawno porosłym grobem królewskim żyła jeszcze powieść o jego istnieniu, o dziwnych przygodach tego tułaczego życia.

Taką to mgłą niepewności okrążyło religijne, moralne uczucie ludu historyą klęski swojego monarchy.

B. K.

Widok Krakowa.

Urywek z listu archeologa

..... Więc jedziesz do Krakowa —

Kiedy już zdala zbliżysz się ku miastu, wszystko zapowie ci wielkość grodu: co trumnami i ojczystą przeszłością ma mówić do ciebie.

A więc: pszenica ozłociła pola, a czarna ziemia bogatym wdzięczy się plonem.

Rwą się strumyki rozbijając skały: Ojcowa, Czerny i Zabiee rzewa; bo im pilno połączyć się z Wisłą u stóp Wawelu.

Karpaty już zdala od granic Wołoszy piętrzą się i garbią, płynąc niby fale olbrzymie; aż kiedy ujrzały Kraków, słupem stanęły Tatrowe ich szezyty— orły usiadły na skałach, by zdala strzegły stolicy.

Po białych wstęgach gościńców czerni się lud wszelaki; bo on śpieszy pokłonić się ołtarzom tych świątyń wielu, co wzniosłe wieże jak błagalne ręce wyciągnęły ku niebu — a dzwonami swemi jęczą i płaczą: jakby do modlitwy wszystek naród wołały.

Zbliżając się do wdowiej królów i świetych stolicy, powitają cię u wrót jej: wesołe krakowiaki, z purpurą majestatu na głowie— Wiedzą oni: że im być murem miastu owemu co króle w groby, a świętych w ołtarze schowało.

Kiedyś już blisko Krakowa, to ujrzysz: jak ojczyzna wszystko co miała: święte i bogate, wyniosła na spotkanie tej królowej swojej. Częstochowa i Kalwarya zabiegły drogi z cudownemi obrazy — Łysa góra i Tyniec krzyż św. niosą — Wiślica z księgą praw w ręku, stanęła — Olkusz z śrebrem, Dębnik z marmurem, Wieliezka z solą, witają, skarby przynosząc; a pod nogi tej pani, cudne kobierce strojne srebrną Wisły wstęgą, rozściela matka przyroda. Hajnały z wieżyc i muzyka dzwonów, grają przyjęciu temu.

Pasem z baszt opięta kibić: grodów królowej — wawelską skałą uzbroiła pierś swoją — Alma mater, jak drogi klejnot błyszczy u serca — a pod koroną, co z maryackiej jaśnieje wieży, złociste świecą chorągiewki — niby włosów jej ozdoba.

A więc z krakowską pieśnią w ustach, wejdź w to miasto nasze.

„Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy;
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.

Otwarta floryańska brama — nikt wejścia nie strzeże — dziad w niej, przed ołtarzem pacierz za przeszłością szepce.

Puszczyk ozwał się z baszty, a kawki czerniawą maryacką osiadły świątynię.

I cisza w grobów stolicy, że oto słyszysz, jako płynie z wawelskiej katedry śpiew psalmów pokuty, a w krzakach nadwiśla słowik miłość śpiewa.

Dobrze ci miasto smutku, że kupiec wyniósł się z kramów twoich — ucichł gwar stolicy, a tylko modlitwa na grobach i ołtarzach snuje niby włókna jakie, złotą przędzę swoją.

Xiężyc, ten mogił przyjaciel, odziewa w srebrnę szatę miasto ciszy i milczenia. Anioł pański unosząc się nad wdowią stolicą, muska białem skrzydłem dzwony wież wynioslych, by się za umarłych modliły.

Jakby na straży cmentarza, trzy stanęły mogiły: Krakusa, Wandy i świeża Kościuszki. Wawel w ramach mogił onych, to i cały hieroglif dziejów ojczystych.

Zacznij czytać tę z ziemi i kamienia księgę — uchyl wieka trumien — popytaj głosek co z marmurów świadczą; a wszystkie te dzieje wieków dziewięciu, przemówią do Ciebie.

To znów popatrz jak niby liściem i splotami bluszczu: podaniem i legendą stare opięły się mury. Uszczknij ten cudowny kwiat czarodziejskiej paproci — niech ci pamiątką bądzie z grodu, co tylko dziś wspomnieniem obdarzyć może pielgrzyma.....

☞ **Większa część abonentów oświadczyła się przeciw dodawaniu powieści w osobnych arkuszach, gdyż te bardzo łatwo się gubią a nawet często na miejsce swego przeznaczenia nie dochodzą. Wracamy więc do wydawania w dwóch równych arkuszach. Jeden arkusz dużego formatu więcej mieści w sobie niżeli dwa dotąd dodawane.**

Z tym numerem rozsyłamy okładki do powieści „Czarny Matwij“. Stanowi ona dwie części. Pierwsza włącznie do X. rozdziału.

Wydawcy i dpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.